

MEG ROSOFF

MOJE NOWE ZYCIE

Miłość poprowadzi Cię do domu...

Y&I

Meg Rosoff

MOJE NOWE ŻYCIE

Przełożyła Berenika Janczarska



1

Mam na imię Elizabeth, ale nikt się do mnie tak nie zwraca. Po urodzeniu tata obrzucił mnie spojrzeniem i być może dostrzegł w mojej twarzy coś dostojnego i smutnego, jak u królowej z minionej epoki albo nieboszczyka, ostatecznie jednak wyrosłam na dziewczynę o nienachalnej urodzie, zupełnie nierzucającą się w oczy. A jeśli chodzi o moje życie, to na razie upłynęło bez fajerwerków, więc od początku bardziej pasowało do mnie imię Daisy niż Elizabeth.

Ale tego lata, gdy pojechałam do Anglii, do kuzynów, zmieniło się wszystko. Stało się tak częściowo z powodu wojny, która prawdopodobnie odmienia bieg wielu rzeczy, ale ponieważ z czasów sprzed wojny i tak niewiele pamiętam, nie będę ich brała tutaj pod uwagę.

A wszystko to głównie z powodu Edmonda.

Oto, co się wydarzyło.

Wysiadam z samolotu na lotnisku w Londynie (później wyjaśnię wam dlaczego) i szukam wzrokiem kobiety w średnim wieku, którą widziałam na zdjęciach, a którą przedstawiono mi jako ciotkę Penn. Fotografie były nieaktualne, ale wyglądała na nich na kobietę, która lubuje się w dużych naszyjnikach, butach na płaskim obcasie i w dopasowanych sukienkach, szarych lub czarnych. Jednak to tylko moje domysły, bo na zdjęciach widziałam jedynie twarz.

Stoję więc i się rozglądam. Ludzie się rozchodzą, telefon milczy i już myślę: „Świetnie, no to zostanę sama na lotnisku, wzgardzona już przez dwa kraje”, gdy podchodzi do mnie jakiś chłopak i pyta, czy mam na imię Daisy. Na widok ulgi malującej się na mojej twarzy rozpromienia się i przedstawia jako Edmond.

– Cześć, Edmond – odpowiadam. – Miło cię poznać.

Uporczywie mu się przyglądam, próbując wyczuć, jakie życie czeka mnie u kuzynostwa. Dopóki pamiętam, opowiem wam, jak wyglądał: z papierosem w ustach i czupryną, jakby sam ją sobie obciął po ciemku toporem, w niczym nie przypominał typowego czternastolatka, a poza tym był trochę jak kundel ze schroniska – słodki i ufny psiak, który na powitanie z godnością wpycha pysk do waszej ręki i od razu wiecie, że chcecie go zabrać do domu. No więc tak właśnie prezentował się Edmond.

Z tą różnicą, że to on zabrał mnie do domu, a nie ja jego.

– Daj torbę – mówi i choć jest o połowę niższy ode mnie, a ramiona ma grubości psiej łapy, chwyta mój bagaż.

Wyrwam mu go i pytam, gdzie jest jego mama i czy może czeka w samochodzie.

Uśmiecha się, zaciąga papierosem i choć wiem, że palenie to śmierć i te sprawy, całkiem podoba mi się ten gest, ale niewykluczone, że wszystkie angielskie dzieciaki po prostu palą. Nie komentuję, bo być może powszechnie wiadomo, że w Anglii wolno palić od dwunastego roku życia i robiąc z tego aferę, tylko wyjdę na idiotkę, i to na samym początku naszej znajomości. Tak czy inaczej, chłopak mówi, że jego mama nie mogła po mnie przyjechać, bo jest w pracy, a gdy pracuje, w żadnym razie nie wolno jej przeszkadzać, a ponieważ wszyscy inni też byli zajęci, wypadło na niego.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Sam tu przyjechałeś? Samochodem?

– Tak. No cóż, jestem prywatnym sekretarzem sułtana Brunei.

Wzruszył ramionami, lekko przechylił głowę po psiemu i wskazał zdezelowanego czarnego jeepa. Sięgnął przez otwarte okno, nacisnął wajchę i szarpnięciem otworzył drzwi. Rzucił moją torbę na tył, a raczej ją tam wepchnął, bo była dość ciężka, a potem powiedział:

– Wskakuj, kuzyneczko.

Ponieważ nie miałam pojęcia, co innego mogłabym zrobić, wsiadłam.

Byłam lekko zdezorientowana, gdy zamiast jechać tam, gdzie wskazuje znak „Wyjazd”, skręciliśmy na trawę, lekceważąc znak „Zakaz wjazdu”, a potem odbiliśmy w lewo, przez rów, i znaleźliśmy się na autostradzie.

– Uwierzysz, że za godzinę parkingu płaci się tam trzynaście pięćdziesiąt? – rzucił.

No cóż, szczerze mówiąc, trudno mi było w cokolwiek wierzyć, gdy jakiś chudzielec z petem w ustach wiozł mnie niewłaściwą stroną szosy i powiedzmy to sobie jasno, pewnie w takich okolicznościach też byście pomyśleli, że Anglia to miejsce co najmniej nietypowe.

Spojrzał na mnie na swój psi sposób i powiedział, że się przyzwyczaję, co też było dziwne, bo przecież milczałam.

Po drodze do domu zasnąłam, bo jechaliśmy bardzo długo, a zawsze, gdy podczas jazdy patrzę na autostradę, kleją mi się oczy. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam przed sobą komitet powitalny, przyglądający mi się przez szybę. Składał się z czterech małych dzieci, kozy, pary psów, które – jak się potem dowiedziałam – wabiły się Jet i Gin, i kilku kotów goniących w tyle stadko kaczek, które nie wiadomo dlaczego łąziły luzem po trawniku.

Po minucie zaczęłam odczuwać wielką satysfakcję, że mam piętnaście lat i pochodzę z Nowego Jorku, bo wprawdzie nie widziałam tu jeszcze wszystkiego, ale zobaczyłam aż nadto, i choć na każdym kroku coś mnie zaskakiwało, przybrałam pierwszorzędą minę z rodzaju „Phi, dla mnie to normalka” – której nie podrobiłby nikt z mojej paczki – bo nie chciałam, żeby kuzyni pomyśleli, że dzieciaki z Nowego Jorku są mniej wyluzowane niż te angielskie, mieszkające w olbrzymich staroświeckich domach i hodujące kozy, psy i Bóg wie co jeszcze.

Wciąż nie było ciotki Penn, ale Edmond przedstawił mnie rodzeństwu, czyli Isaacowi, Osbertowi i Piper, których imion nie zamierzam nawet komentować. Isaac jest bratem bliźniakiem Edmonda. Wyglądają identycznie, z tym że Isaac ma zielone oczy, a Edmond koloru nieba, które aktualnie jest szare.

Od początku największą sympatię wzbudziła we mnie Piper. Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

– Cieszymy się, że przyjechałaś, Elizabeth.

– Daisy – poprawiłam ją.

Z powagą pokiwała głową, co przekonało mnie, że zapamięta, jak należy się do mnie zwracać.

Isaac zaczął taszczyć moją torbę do domu. Po chwili zjawił się Osbert, najstarszy z rodzeństwa, i z poczuciem wyższości wyrwał mu ją z rąk, po czym zniknął za progiem.

Zanim zrelacjonuję, co się wydarzyło, opowiem wam o domu, którego w zasadzie nie da się opisać komuś, kto do tej pory widział tylko nowojorskie apartamenty.

Przede wszystkim jest w rozsypce, ale ani trochę nie odbiera mu to uroku. Zbudowany w kształcie litery L z dużych kłoców żółtawego kamienia, ma pochyły dach, a w środku duże wybrukowane podwórko. Do krótszego ramienia „L” prowadzą szerokie łukowate drzwi. Dawniej za nimi mieściła się stajnia, ale teraz urządzono tu olbrzymią kuchnię z wykładanymi cegłą podłogami, wielkimi oknami i ze stajennymi drzwiami, które – jak mówi Edmond – zawsze, o ile nie pada śnieg, stoją otworem.

Po froncie domu pną się winorośl o lodydze tak grubej, że pewnie rośnie tam od kilkuset lat. Nie kwitnie, bo nie jest na to pora. Z tyłu domu biegną w górę kamienne schody, prowadzące do kwadratowego ogrodu otoczonego wysokim murem z cegły, w którym jest mnóstwo dojrzałych kwiatów we wszystkich odcieniach bieli. W rogu znajduje się kamienna rzeźba anioła wielkości dziecka – wygląda na bardzo zmęczonego i ma podkulone skrzydła. Piper powiedziała mi, że to pomnik chłopczyka, który żył w tym domu kilkaset lat temu i którego pogrzebano w ogrodzie.

Gdy w końcu mam okazję rozejrzeć się po domu, okazuje się, że jego wnętrze jest jeszcze dziwniejsze od tego, co na zewnątrz – wszędzie są jakieś korytarze prowadzące nie wiadomo dokąd, a w ich głębi, na ostatnim piętrze, poukrywane maleńkie pokoiki ze spadzistym stropem. Schody skrzypią, w oknach nie ma zasłon, a wszystkie główne pokoje wydają się olbrzymie w porównaniu z tym, do czego jestem przyzwyczajona. Znajdują się w nich rozłożyste stare meble, obrazy i ogromne kominki, do których można wejść, a w każdym kącie pozują wypchane

zwierzęta, co nadaje wnętrzu jeszcze bardziej staroświecki wygląd.

Łazienki też są staromodne, czy jak kto woli, „antyczne” i robią straszny hałas, gdy załatwia się w nich prywatne potrzeby.

Za domem roztaczają się hektary łąk i pól. Na niektórych uprawiane są ziemniaki, a jeszcze inne porasta jaskrawożółte kwiecie, którym, jak informuje mnie Edmond, jest rzepak (ten od oleju rzepakowego).

Zatrudniają człowieka, który przychodzi i zajmuje się uprawą, bo ciotka Penn zawsze jest zajęta Bardzo Ważną Misją Związaną z Szerzeniem Pokoju na Świecie, a poza tym – zdaniem Edmonda – nie ma zielonego pojęcia o pracach gospodarczych. Hodują owce, kozy, koty i psy oraz kurczaki. Dla ozdoby, jak z lekką drwiną stwierdził Osbert. Ten mój kuzyn zaczyna mi przypominać znajomych z Nowego Jorku.

Edmond i Piper, Isaac i Osbert w towarzystwie Jeta i Gin, czarnego i białego psa, a także stadka kotów, podreptali do kuchni i zasiedli przy drewnianym stole, na którym ktoś postawił filiżanki herbaty. Wpatrywali się we mnie jak w jakiegoś dziwołaga z lunaparku i zadawali mi mnóstwo pytań, ale tysiąc razy grzeczniej, niżby mnie indagowano w Nowym Jorku. Tam dzieciaki czekałyby, aż przyjdą dorośli, ze sztucznymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy, położą ciasteczka na talerzu i każą się nam przedstawić.

Nagle zrobiło mi się słabo i pomyślałam: „Rany, pomogłaby mi szklanka zimnej wody”, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Edmond stoi nade mną ze szklanką wody z lodem i patrzy z uśmiechem. Chociaż wtedy się tym nie przejęłam, nie umknęło mojej uwadze, że Isaac posyła Edmondowi dziwne spojrzenie.

Osbert wstał i wyszedł. Ma szesnaście lat i jest najstarszy w całym towarzystwie (nie wiem, czy już o tym wspominałam), ode mnie starszy o rok. Piper spytała, czy chcę obejrzeć zwierzęta, czy może wolę poleżeć. Odpowiedziałam, że wolałabym się położyć, bo przed wyjazdem z Nowego Jorku zarwałam kilka nocy. Wyglądała na zawiedzioną, ale tylko przez chwilę. Zresztą czułam się tak zmęczona, że było mi obojętne, czy zachowuję się grzecznie, czy nie.

Zaprowadziła mnie na górę do pokoju na końcu korytarza, który przypominał mnisią celę. Był ciasny i prosty, z grubymi białymi ścianami, chropowatymi, a nie gładkimi jak w nowych domach, z jednym olbrzymim oknem podzielonym na mnóstwo żółtawych i zielonkawych szybek. Pod łóżkiem siedział gruby pręgowany kot, a w starej butelce stały żonkile. Nagle odniosłam wrażenie, jakby ten pokój był najbezpieczniejszym miejscem na świecie, co tylko dowodzi, jak mylne mogą być nasze przewidywania. Ale hola, hola, znowu wybiegam w przyszłość.

Położyłyśmy moją walizkę w kącie, a Piper przyniosła górę starych koców, nieśmiało dodając, że zrobiono je dawno temu z tutejszych owiec i że czarne koce są z czarnych.

Naciągnęłam na głowę czarny koc i zamknęłam oczy. Ni stąd, ni zowąd poczułam, jakbym od wieków należała do tego domu, ale pewnie była to tylko iluzja.

A potem zasnąłam.

Nie miałam zamiaru przespać całego dnia i nocy, ale tak wyszło. Gdy się obudziłam, pomyślałam, że to bardzo dziwne, że leżę w obcym łóżku, tysiące kilometrów od domu, skąpana w szarawym świetle i osobliwej ciszy, której nie można uświadczyc tam, skąd pochodzę, bo w Nowym Jorku nieustannie słychać jednostajny szum ruchu ulicznego.

Najpierw sprawdziłam, czy dostałam jakieś esemesy, ale okazało się, że nie, bo nie ma zasięgu. „A więc kontakt z cywilizacją się urwał”, pomyślałam. Trochę spanikowałam, bo przypomniałam sobie taki film, w którym pada kwestia: „Nikt nie usłyszy twoich krzyków”, ale nie pamiętam jego tytułu. Podeszłam do okna i wyjrzałam na dwór. Tam, gdzie właśnie zaczęło wschodzić słońce, była różowawa poświata, a nad stodołą, polami i ogrodami wisiała absolutnie nieruchoma szara mgła. Wszystko wyglądało doskonale spokojnie i pięknie. Patrzyłam i patrzyłam z nadzieją, że może dojrzę jelenia albo jednorożca truchtającego do domu po ciężkiej nocy, ale zobaczyłam tylko ptaki.

Zmarzłam i wróciłam pod koc.

Byłam zbyt onieśmielona, żeby wyjść z pokoju, więc siedziałam i rozmyślałam o moim domu w Ameryce, co przypominało mi o Diabolicznej Davinie, która wysłała z mojego ojca duszę przez sami wiecie co, a potem zaciążyła diabelskim skrzekiem, którego gdy tylko pojawi się na świecie, nazwiemy Damianem, nawet jeśli będzie dziewczynką.

Zdaniem mojej najlepszej przyjaciółki Lei DD najchętniej systematycznie by mnie podtruwała, aż w końcu bym poczerniała, spuchła jak świnia i umarła w cierpieniach, ale jej plan nie wypalił, bo odmówiłam przyjmowania pokarmów. W końcu postanowiła, że zamieszkać tysiące kilometrów dalej, u moich kuzynów, których nigdy wcześniej nie widziałam, podczas gdy ona i ojciec wraz z diabelskim pomiotem będą żyć długo i szczęśliwie. Jeśli w ogóle próbowała skorygować wyobrażenie, jakie ludzie od stuleci mają o macochach, to jej się to nie udało. Jeszcze chwila, a ze stresu dostałabym ataku hiperwentylacji, gdy nagle usłyszałam szmer przy drzwiach. Zaglądała przez nie Piper. Gdy zobaczyła, że nie śpię, cicho zapiszczała z radości jak myszka i spytała, czy napiję się herbaty.

– Jasne – powiedziałam i żeby nie wyjść na nieokrzesaną, dodałam: – Dziękuję.

A potem jeszcze się uśmiechnęłam, bo od początku bardzo polubiłam tę dziewczynkę. Podreptała na swoich małych kocich stópkach i zniknęła tak samo jak mgła za oknem. Wszystko stało się cudownie zielone. Ubrałam się i po długich poszukiwaniach, podczas których odkryłam kilka niesamowitych pokoi, udało mi się trafić do kuchni.

Isaac i Edmond jedli tosty z marmoladą, a Piper przygotowywała dla mnie herbatę. Wyglądała na zmartwioną, że wstałam i nie będzie mogła mi jej zanieść do łóżka. W Nowym Jorku dziewięciolatki zwykle nie zajmują się takimi rzeczami, tylko liczą na dorosłych, więc byłam pod wrażeniem jej ochoczego nastawienia. Zaczęłam się zastanawiać, czy stara dobra ciotka Penn przypadkiem nie umarła i nikt nie wie, jak mi o tym powiedzieć.

– Mama pracowała całą noc – oznajmił Edmond. – Położyła się spać, ale wstanie na lunch i wtedy się spotkacie.

No dobrze, to wszystko wyjaśnia. Dziękuję, Edmondzie.

Pijąc herbatę, zauważyłam, że Piper wierci się niecierpliwie i co chwila zerka na Edmonda i Isaaca, którzy właśnie się odwrócili w naszą stronę.

– Proszę, chodź ze mną do odczarni, Daisy – wydukała w końcu, a jej prośba zabrzmiała bardziej jak polecenie.

Potem posłała braciom spojrzenie mówiące, że nie mogła się powstrzymać.

Gdy wstałam, zrobiła coś przemiłego, a mianowicie wzięła mnie za rękę. Miałam ochotę ją za to uściskać, zwłaszcza że ostatnio traktowanie mnie z uprzejmością nie należało do niczych priorytetów.

W zagrodzie czuć było zwierzętami, ale w przyjemny sposób. Piper pokazała mi maleńkiego koziołka w czarno-białe łaty, z rombowlatymi źrenicami, małymi grubymi różkami i dzwoneczkiem zawieszonym na czerwonej obróżce. Powiedziała, że nazywa się Ding i należy do niej, ale że mogę go mieć, jeśli zechcę. Wtedy nie mogłam się powstrzymać i naprawdę ją uściskałam, bo zarówno Piper, jak i słodkie kozłatko byli rozbijającą mili – nie mogłam się zdecydować, które z nich bardziej.

Potem pokazała mi jeszcze stadko owiec z długim skołtunionym runem i kury składające niebieskie jaja. Wyjęła ze słomy jedno takie jajko, jeszcze ciepłe, i mi je dała. Choć nie miałam pojęcia, co zrobić z takim prezentem, pomyślałam, że to miły gest.

Nie mogę się doczekać, aż opowiem o tym wszystkim Lei.

Po jakimś czasie zaczęłam odczuwać dreszcze, więc powiedziałam Piper, że chciałabym się na trochę położyć. Zmarszczyła czoło i stwierdziła, że muszę coś zjeść, bo jestem za chuda, a ja na to, żeby nie przesadzała, bo to tylko *jet lag*. Najwyraźniej ją to uraziło, ale naprawdę nie mam siły słuchać jednej i tej samej zdartej płyty, w dodatku puszczonej przez ludzi, których ledwo znam.

Gdy wstałam, w kuchni czekały zupa, ser i olbrzymi bochen chleba. A także ciotka Penn. Na mój widok podeszła i wzięła mnie w ramiona, a potem cofnęła się o krok, żeby mi się przyjrzeć.

– Elizabeth – zwróciła się do mnie stanowczym tonem, a potem dodała, że wyglądam identycznie jak mama, co było grubą przesadą, bo mama była piękna, a ja nie.

Ciotka Penn ma takie same oczy jak Piper, poważne i sondujące, a gdy usiedliśmy do lunchu, nie nalała mi zupy, tylko powiedziała:

– Proszę, Daisy, częstuj się, czym chcesz.

Opowiedziałam im o tacie i Diabolicznej Davinie, a także o Damianie, diabelskim pomociu. Śmiali się, ale najwyraźniej trochę mi współczuli. Ciotka Penn powiedziała nawet, że no cóż, ich strata, nasz zysk, co było miłe z jej strony, nawet jeśli kierowała nią tylko uprzejmość.

Staralam się obserwować ją w dyskretny sposób, licząc na to, że po jej wyglądzie i zachowaniu będę w stanie cokolwiek wywnioskować na temat swojej matki, którą ledwo znałam. Zadawała mi mnóstwo pytań o to, jak wygląda moje życie, a moich odpowiedzi słuchała z uwagą – zupełnie inaczej niż większość dorosłych, którzy tylko udają, że słuchają, a tak naprawdę myślą o czymś zupełnie innym.

Spytała, jak się miewa mój ojciec. Jak się okazało, nie widziała go od wielu lat. Powiedziałam, że miewa się dobrze, oprócz tego, że ma fatalny gust, jeśli chodzi o dziewczyny, ale teraz, gdy jestem daleko i nie przypominam mu o tym kilka razy dziennie, pewnie czuje się jeszcze lepiej.

Ciotka uśmiechnęła się w dziwny sposób, jakby miała ochotę parsknąć śmiechem albo wybuchnąć szlochem, a gdy spojrzałam jej w oczy, zrozumiałam, że jest po mojej stronie, co z mojego punktu widzenia stanowiło miłą odmianę i chyba miało jakiś związek z tym, że moja nieżyjąca matka była jej młodszą siostrą.

Podczas lunchu dużo rozmawialiśmy, ale ciotka zwracała się tylko do mnie, a toczącym się obok dyskusjom jedynie się przysłuchiwała. Miałam wrażenie, że jest trochę rozkojarzona, prawdopodobnie ze względu na pracę, jaką wykonuje.

Trochę później, gdy wszyscy byli zajęci rozmową, położyła mi dłoń na ramieniu

i powiedziała cicho, abym tylko ja usłyszała, co za szkoda, że moja mama nie może zobaczyć, na jaką charakterną osobkę wyrosłam. „Charakterną?”, spytałam w duchu. To dość dziwne określenie. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie chodzi jej o to, że jestem szurnięta. Jednocześnie ciotka nie wyglądała na kogoś, kto tylko myśli, jak tu dopiec drugiemu człowiekowi, jak, nie przymierzając, niektóre znane mi kobiety.

Przyglądała mi się przez kilka sekund. Po chwili podniosła rękę i odgarnęła mi włosy z twarzy w taki sposób, że zrobiło mi się strasznie smutno, a potem powiedziała poważnym, pełnym żalu głosem, że bardzo jej przykro, ale pod koniec tygodnia musi wygłosić wykład w Oslo na temat Nieuniknionych Zagrożeń Wojny i w związku z tym ma dużo pracy, więc prosi o wybaczenie, bo musi nas opuścić. Nie będzie jej tylko przez kilka dni, a dzieci zajmą się mną jak należy. Znowu ta oklepana wojna pojawia się nie w porę.

Nie myślałam o niej dużo, bo irytowało mnie, że przez ostatnie pięć lat wszyscy wokół o niej trajkoczą, o tym, czy będzie. O ile wiem, i tak nic się nie poradzi, więc po co w ogóle się rozwodzić na ten temat.

Zauważyłam, że Edmond patrzy na mnie w ten dziwny, uważny sposób, i zrewanżowałam się takim samym spojrzeniem, ciekawa jego reakcji. Ale tylko się uśmiechnął i zmrużył oczy, jeszcze bardziej niż przedtem przypominając mądrego psa. Pomyślałam, że jeśli nagle się okaże, że ten dzieciak ma trzydzieści pięć lat, to wcale się nie zdziwię.

Tak mniej więcej wyglądał mój pierwszy (przypadnie spędzony) dzień w Anglii. Na razie życie z kuzynami zapowiadało się bardziej niż w porządku, a na pewno stanowiło olbrzymi postęp w porównaniu z moim tak zwanym „życiem w domu”, na Osiemdziesiątej Szóstej.

Późno w nocy usłyszałam, że gdzieś w domu dzwoni telefon. Pomyślałam, że może mój ojciec się opamiętał i telefonuje, żeby powiedzieć: „Słuchajcie, jednak uznałem, że uleganie kaprysom jednej takiej knującej intrygi jędzy i odesłanie własnej córki do obcego kraju jest błędem”, ale byłam zbyt śpiąca, żeby wstać i szukać dziurki od klucza, przez którą mogłabym podsłuchiwać. Jak widać, powietrze w starej dobrej Anglii już zadziało na mnie ozdrowieńczo.

Nazajutrz wcześniej rano, gdy jak zwykle zaglądałam do zakamarków swojej nieświadomości – teren nieprzyjazny i zaludniony przez typy spod ciemnej gwiazdy – usłyszałam nad uchem głos Edmonda:

– Daisy, pobudka!

Stał nade mną z papierosem w ręku i w dziwnych tureckich pasiastych papuciach na nogach.

– Wstawaj, idziemy na ryby – rzucił.

Zamiast odpowiedzieć, że nie znoszę chodzić na ryby, podobnie jak jeść ryb, wygrzebałam się spod koców i bez mycia narzuciłam na siebie jakieś ubrania. Ani się obejrzałam, a siedzieliśmy z Edmondem, Isaakiem i Piper w jeepie kolebiącym się po starej wyboistej drodze. Przez okna wlewało się słońce i poczułam, że życie jest dużo przyjemniejsze, niż mi się zwykle wydawało, nawet jeśli ofiarą tego będzie musiało paść kilka rybek.

Edmond prowadził, a my siedzieliśmy z przodu ściśnięci jak sardynki, bez pasów, bo ich nie było. Piper śpiewała anielsko czystym głosem piosenkę o śmiesznej, rozchwianej melodii, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

Nad rzeką zaparkowaliśmy i wysiedliśmy. Isaac wziął sprzęt wędkarski, a Edmond lunch i koc. Choć nie było szczególnie ciepło, w wysokiej trawie umościłam sobie gniazdko, rozłożyłam koc, położyłam się i znieruchomiałam. Słońce wschodziło na nieboskłon. Po ciele rozlewało mi się przyjemne ciepło. Słyszałam tylko Edmonda zwracającego się do ryb jednostajnym cichym głosem, Piper nucącą swoją osobliwą piosenkę i od czasu do czasu plusk wody albo pisk ptaka wzlatającego w powietrze i wyśpiewującego przed nami serce.

Akurat w chwili gdy myślałam o tym ptaku, Edmond szepnął mi do ucha:

– To słowik.

Pokiwałam głową, wiedząc, że nie ma sensu pytać, skąd zna odpowiedzi na pytania, których nie zdążyłam nawet zadać. Nalał mi herbaty z termosu i wrócił do wędkowania.

Nikt nie złowił nic godnego uwagi, poza Piper, której trafił się pstrąg. Wrzuciła go z powrotem do wody (Edmond wyjaśnił, że zawsze tak robi, a Isaac jak zwykle skwitował to milczeniem). Byłam w siódmym niebie, dopóki nie usiadłam i nie poczułam powiewu zimnego wiatru. Położyłam się więc znowu i leżałam tak w rozmarzeniu, rozmyślając o ciotce Penn i moim dotychczasowym życiu. Na chwilę przypomniałam sobie, jak to jest czuć się szczęśliwą.

W chwilach takich jak ta zdarzało się, że na ułamek sekundy przestawałam się pilnować, a wtedy w myślach stawała mi moja nieżyjąca mama. Ponieważ zmarła młodo, ludzie ze zboląłą miną wyrażali współczucie, jakby to była ich wina, a prawda jest taka, że gdyby wszyscy nie byli tak zaferowani przeproszaniem za to, że zadali najnormalniejsze pytanie w świecie, czyli „gdzie jest twoja mama?”, może udałoby mi się dowiedzieć czegoś więcej na jej temat ponad to, że Umarła, Żeby Dać Ci Życie, co jest oficjalnym stanowiskiem wszystkich w sprawie Starej Dobrej Matuli.

To niefajnie, gdy swój pierwszy dzień życia na planecie zaczynasz jako zabójczyni, ale co począć, nie miałam wtedy dużego wyboru. W każdym razie żyłoby mi się o wiele lepiej, gdyby nie traktowano mnie jak Morderczynię czy Biedne Osierocone Jagniętko. Młot czy kowadło?

Tata zalicza się do ojców z kategorii „Nigdy Nie Wspominaj Jej Imienia”, co moim zdaniem jest mało pedagogiczne z jego strony. Ojciec Lei, który pracował na Wall Street, pewnego dnia stracił sześćset milionów nieswoich pieniędzy i strzelił sobie w głowę, a mimo to u niej w domu bez przerwy się o nim rozmawia, co, jak nieustannie podkreśla Lea, też nie jest

najlepszym rozwiązaniem.

Czasem bardzo bym chciała, żeby ktoś mi opowiedział o zwykłych rzeczach, na przykład o tym, czy mama miała duże stopy i czy się malowała, albo jaka była jej ukochana piosenka, czy lubiła psy, czy miała ładny głos i jakie czytała książki. Postanowiłam, że zapytam o to ciotkę Penn, gdy już wróci z Oslo, ale tak naprawdę chyba chodzi mi o sprawy, o które nie można tak po prostu zapytać, jak na przykład to, czy mam jej oczy albo czy odgarniam włosy tak jak ona i czy jej ręce tak jak moje sprawiały wrażenie, jakby należały do osoby roztropnej i spokojnej, a także czy zdążyła spojrzeć na mnie tym zatroskanym spojrzeniem, jakim często sama patrzę, i jeszcze to, czy bała się śmierci.

Przyszli Edmond i Piper i położyli się na kocu, po obu moich bokach. Piper jak zwykle trzymała mnie za rękę, a Isaac cały czas stał w wodzie, ze spokojem wymalowanym na twarzy. W nienapastliwy, leniwy sposób zaczęli się sprzeczać o to, jakie muchy najbardziej smakują pstrągom. Edmond wypuszczał w powietrze kółeczka dymu, a ja zamknęłam oczy, pragnąc, żebym też umiała tak palić.

Przez tamten tydzień prawie nie widywałam Osberta, bo chodził do szkoły, w odróżnieniu od Isaaca, Edmonda i Piper, którzy mieli „nauczanie domowe” polegające, o ile się zorientowałam, na tym, że czytali wybrane przez siebie książki, a ciotka Penn od wielkiego dzwonu pytała ich, czy pouczyli się geografii, na co odpowiadali, że tak.

Najwyraźniej był to wielki postęp w systemie oświaty i nie mogłam się doczekać, aż obejmie i mnie, ale ciotka Penn powiedziała, że mam wolne do semestru jesienno, który zaczynał się dopiero we wrześniu, a wtedy nikt i tak już nie będzie chodził do szkoły z powodu... sami wiecie jakiego.

Bez specjalnych umizgów, bez poklepywania mnie po ramieniu i mówienia „świetnie ci idzie, kuzyneczko Daisy”, tak jak to pokazują w telewizji, zaczęliśmy z Piper, Edmondem i Isaakiem robić prawie wszystko razem, choć czasami zapomniałam o istnieniu Isaaca, bo całymi dniami potrafił się nie odzywać. Ciocia Penn wcale się tym nie przejmowała. Słyszałam, jak tłumaczy komuś, że chłopak zacznie mówić, jak będzie na to gotowy. Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że w Nowym Jorku praktycznie od urodzenia zapakowaliby go w kaftan bezpieczeństwa i zwołali zastęp Konsultantów Edukacyjnych i Ekspertów Resocjalizacji, którzy nie odstępowaliby go na krok i rozprawiali o jego Specjalnych Potrzebach, żądając za to niebotycznych sum.

Kilka dni później poszłam wieczorem do gabinetu ciotki z nadzieją, że uda mi się wysłać kilka mejli do osób, które pewnie już skreśliły mnie z listy żywych. Spod drzwi wydostawało się światło.

– Edmond? – spytała ciotka.

Z początku zamierzałam odejść po cichu na palcach, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

– Nie, Daisy – odpowiedziałam.

– O, Daisy, wejdz proszę – zaświergotała ciocia, najwyraźniej ciesząc się na mój widok. – Usiądź przy kominku. – Kwietniowe noce wciąż były zimne. – Nie masz pojęcia, ile kosztuje ogrzanie takiego starego domu.

Przycupnęłam blisko ognia, a ciotka odłożyła pracę, stwierdzając, że jak na jeden wieczór zrobiła aż nadto, a gdy zobaczyła, że nie przestaję się trząść, wstała z krzesła i opatulila mnie kocem. Na jej twarzy majaczył uśmiech, tylko jakiś smutny. Usiadła obok mnie na sofie i zaczęła opisywać swoją siostrę. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że mówi o mojej mamie.

Opowiedziała mi o rzeczach, z których nigdy nie zdawałam sobie sprawy, na przykład o tym, że mama chciała studiować historię, ale ponieważ zakochała się w moim ojcu, zrezygnowała z pójścia na uniwersytet, czym rozwścieczyła mojego dziadka. Gdy wyjechała do Ameryki, prawie nikt z rodziny nie chciał z nią utrzymywać kontaktu. Potem ciocia wzięła z biurka oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające dwie niemal identyczne młode kobiety – jedną roześmianą, drugą poważną – obejmujące wielkiego szarego psa, którego nazwały Lady, dla zgrywu, bo suka w ogóle nie potrafiła się zachować, co nie przeszkadzało jej być „oczkiem w głowie mojej matki”.

W domu widziałam mnóstwo zdjęć mamy, ale zawsze był na nich tata. Nie mieliśmy żadnego z czasów sprzed ich związku. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, bo na fotografii ciotki wyglądała zupełnie inaczej, młodo i radośnie, jak ktoś, kogo znało się w poprzednim życiu. Ciocia Penn powiedziała, że mogę zatrzymać to zdjęcie, ale nie chciałam, bo wydawało mi się, że jego miejsce jest właśnie w tym pokoju, na tym biurku.

Ciocia potarła oczy i powiedziała, że już późno i obie powinnyśmy się położyć. Gdy stałam przy drzwiach, dodała:

– Twoja matka była przeszczęśliwa, kiedy zadzwoniła do mnie z wiadomością o ciąży. Mówiła o tym dziecku z wielką radością. Czyli o tobie, Daisy.

A potem kazała mi biec na górę, żebym się nie przeziębiła. Miałam wrażenie, że minęły całe godziny, zanim wreszcie przestałam drzeć.

Nazajutrz ciotka wyjechała do Oslo. Niespecjalnie się tym przejęliśmy, choć świadomość, że teraz to my Sprawujemy Nad Wszystkim Pieczę, była miłym uczuciem. Gdyby jednak spojrzeć wstecz na tę całą historię, chwila, w której ciotka opuściła dom, była początkiem całej tej afery, tak jak zabójstwo księcia Ferdynanda było przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej, choć związek między tymi dwoma ostatnimi zdarzeniami zawsze był dla mnie niejasny.

No, ale na razie ucałowała każdego z nas z osobna, uśmiechnęła się i powiedziała, żebyśmy nie robili głupstw. Gdy przyszła kolej na całusa dla mnie, w ogóle nie była zbita z tropu, tylko dała mi go najnaturalniej w świecie, co było najmiłą z miłych rzeczy, które spotkały mnie w tym domu.

Nie zdążyliśmy się nawet nacieszyć tym, że zostaliśmy sierotami na włościach, gdy zaczęło się dziać to wszystko.

Pierwsze, co się stało, nie było naszą winą. Dzień po wyjeździe ciotki na dużym dworcu w Londynie wybuchła bomba, zabijając jakieś siedem czy siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

Z oczywistych powodów zostało to fatalnie przyjęte przez społeczeństwo, wywołało panikę i tak dalej, ale szczerze mówiąc, na nas, zaszytych gdzieś na głębokiej wsi, zrobiło niewielkie wrażenie. Interesowało nas o tyle, że pozamykano wszystkie lotniska, co oznaczało, że w najbliższej przyszłości nikt nie będzie mógł wrócić do domu, w tym ciotka Penn. Nie mieliśmy śmiałości przyznać, że pozostawanie bez opieki dorosłych jest absolutnie supersprawą, ale nie trzeba być jasnowidzem, żeby się tego domyślić. Nie mogliśmy uwierzyć, że mamy taki fart, i przez chwilę czuliśmy się jak w kolejce pędzącej w dół – myśleliśmy tylko o tym, jakie to cudowne uczucie mknąć tak szybko.

Po wybuchu pierwszej bomby cały świat siedział z oczami wlepionymi w telewizor i wciąż ktoś dzwonił do nas z pytaniem, czy wszystko z nami w porządku, ale ponieważ znajdowaliśmy się jakieś cztery miliony mil od epicentrum, mieliśmy spore szanse na przeżycie.

Mówiło się o braku żywności, blokadach transportów naziemnego i powietrznego, mobilizowaniu wszystkich mężczyzn sprawnych fizycznie i o innych okropieństwach, jakie tylko przyszły ludziom do głowy. Ściągnięci do radia eksperci różnych maści odpowiadali na pytanie, Czy To Już Wojna, udając, że dysponują jakąś wiedzą dla wtajemniczonych, podczas gdy w rzeczywistości nic z tego nie rozumieli.

W końcu dodzwonił się także mój ojciec. Najwyraźniej dźwięk mojego głosu przekonał go, że żyję i nie ma czym się martwić, bo od razu nasza rozmowa wkroczyła na utarte tory, czyli:

On: Jak się masz? Potrzebne ci pieniądze? Chcesz wrócić do domu?

Ja: Tak. Tak. Nie. Nie. Wszystko mi jedno.

Powiedział, że się o mnie martwili, choć nie miałam pojęcia, kim są owi „oni”, a potem rzucił, że ma spotkanie i musi biec, ale że mnie kocha, a ponieważ milczałam, rozłączył się.

Nie mogłam już znieść tego gadania, więc poszliśmy z Edmondem na spacer do wsi, która okazała się niezwykle malownicza, usiana maleńkimi połączonymi ze sobą domkami, wybudowanymi z żółtego kamienia, tak jak nasz. Miejscowość nie była duża, ale znajdowało się tam mnóstwo wąskich uliczek z identycznymi budynkami, które różniły się tylko bibelotami ustawionymi na parapetach. Edmond powiedział, że odbywa się tu cotygodniowy targ, są: trzy

piekarnie, dwóch rzeźników, kościół z dwunastego wieku, herbaciarnia, dwa puby (jeden przyzwoity, drugi nie, ten nieprzyzwoity z hotelem), kilku pijaków i jeden domniemany pedofil, a także sklep obuwniczy, w którym dodatkowo można nabyć: sztormiaki, kalosze, piłki do gry i plecaki z kanarkiem Tweetym.

Nieopodal centrum wznosiła się budowla większa i bardziej kwadratowa niż pozostałe, która okazała się ratuszem. Z przodu rozciągał się brukowany rynek, gdzie w każdą środę odbywał się targ, a w rogu idealnie po przekątnej mieścił się jeden z dwóch pubów. Nazywał się Łosoś, bo sąsiadował kiedyś ze sklepem rybnym. Ten wprawdzie został zamknięty, ale nikomu nie chciało się zmieniać nazwy. W przeciwległym rogu była dobra staroangielska wersja sklepu 7-Eleven, w którym z jakiegoś powodu ulokowano także pocztę i aptekę, a przed wejściem sprzedawano gazety, w razie gdyby wszystko inne nie skusiło klientów.

Weszliśmy do środka i za pieniądze, które zostawiła nam ciotka Penn, kupiliśmy tyle butelek wody i napojów w puszkach, ile tylko daliśmy radę unieść, co było nieporównywalnie lepsze niż gapienie się na jeden i ten sam obrazek Dymiącej Masakry pokazywany w telewizji. Staraliśmy się być bardzo dojrzały, decydując, jakie jedzenie może nam się przydać podczas oblężenia, które – powiedzmy sobie szczerze – na naszym odludziu było mało prawdopodobnym scenariuszem. Nie byliśmy jedynymi klientami w sklepie, ale ludzie nadal byli dość życzliwi, zwłaszcza dla dzieci pozbawionych opieki dorosłych, i nikt nie próbował nas przepędzać ani kraść nam gruszek w syropie.

Wciąż mieliśmy przed sobą całe popołudnie, na które zapowiadano armagedon, więc wróciliśmy do domu, tym razem wolniej pokonując drogę przez wzgórze, bo ciążyły nam butelki. Gdy dotarliśmy na miejsce, Edmond uznał, że powinniśmy przenieść się wyżej i rozbić obóz w owczarni, która była oddalona od domu o półtora kilometra i tak ukryta za grupką rozłożystych dębów, że nie miał szans nas tam znaleźć nikt, kto by nie wiedział, gdzie szukać. Pomyśleliśmy, że jeśli Nieprzyjaciel przyszedłby aż tutaj, to trzeba by się zakamuflować, choć głównym powodem było to, że nam się nudziło.

Tak więc razem z Piper, Isaakiem i Edmondem zaciągnęliśmy zapasy jedzenia, koce i książki do zagrody, w której zwykle przechowywano tylko siano. Gdyby nie myszy, byłoby nam całkiem wygodnie i sucho. Mieliśmy bieżącą wodę, bo stodołę wykorzystywano do jagnienia się owiec. Powiedzieliśmy Osbertowi, że tam właśnie spędzimy najbliższe dni, ale ledwo zwrócił na to uwagę, tak był zajęty śledzeniem braku wydarzeń w wiadomościach, wydzwanianiem do znajomych i przybieraniem zafrasowanego wyrazu twarzy, próbując ustalić wraz z sześćdziesięcioma milionami innych ludzi, czy Jest Już Wojna, czy Jednak Jeszcze Nie.

Było około południa, gdy w końcu umościliśmy sobie gniazdko. Piper przyniosła należący do Osberta *Przewodnik survivalu dla skautów* i stwierdziła, że sami musimy zdobywać i gotować jedzenie. Z tą myślą wróciła do domu, zebrała kilka niebieskich jajek i wykopała na polu kilka wczesnych ziemniaków. Odgrzała się, że aby zwiększyć zawartość białka w posiłku, wysuszy na kamieniu dżdżownicę, a potem zmieli je na proszek. Ponieważ żadne z nas nie cierpiało na niedobór białka – poza mną, ale ja byłam do tego przyzwyczajona – udało nam się ją przekonać, żeby zostawić proszek z dżdżownicy na deszczowe dni. Trochę ją to zasmuciło, ale nie naciskała. Gdy wyruszyła na poszukiwanie żywności, Isaac przyniósł z domu worek sera i szynki oraz ciasto owocowe w puszcze, suszone morele i dużą butelkę soku jabłkowego, a także wielki kawałek czekolady zawinięty w brązowy papier.

Ukryliśmy worek w pojemniku na paszę, żeby nie zranić uczuć Piper. To, co nam w końcu podała, nie było może królewską ucztą, ale wyglądało stosownie do okazji, czyli jak to, co serwują w punktach doraźnej pomocy żywnościowej. Edmond i Isaac rozpalili ognisko i upiekli ziemniaki, a gdy dogasało, Piper położyła przy węgielkach jajka, i choć niektóre wyszły

trochę surowe, smakowały dobrze.

Powiedziałam, że jestem zbyt podekscytowana tym wszystkim, żeby cokolwiek przełknąć, i nikt nie miał nic przeciwko temu poza Edmondem, który obrzucił mnie swoim typowym spojrzeniem. Zdałam sobie sprawę, że kiedy zauważymy, że ktoś nas obserwuje, to trudno jest nie zrewanżować mu się tym samym.

Potem rozłożyliśmy na słomie koce, robiąc jedno wielkie łóże. Zdjęliśmy buty i położyliśmy się w ubraniach, najpierw Isaac, potem Edmond, ja, a za mną Piper, z początku zachowując przyzwoitą odległość, ale w końcu daliśmy sobie z tym spokój i się do siebie przysunęliśmy, bo wokół latały nietoperze, a świerszcze wygrywały smutne melodie. W dodatku noc była zimna, no i jeszcze pojawiła się myśl o tych wszystkich nieszczęśnikach, którzy zginęli w Londynie. Nie byłam przyzwyczajona do spania tak blisko innych ludzi i choć lubiłam, jak Piper trzyma mnie za rękę, nie mogłam przez to przewrócić się z boku na bok, dlatego jestem pewna, że zasnęłam ostatnia.

Jet i Gin miały się na dole. Choć myślałam, że Edmond od dawna śpi, nagle odezwał się cicho i powiedział, że psy zawsze tu śpią podczas jagnienia się owiec, bo je zaganiają, więc teraz nasza obecność spowodowała, że są zdezorientowane. Na dźwięk jego łagodnego głosu nabrałam ochoty, żeby przysunąć się jeszcze bliżej, co niezwłocznie uczyniłam. Przez chwilę po prostu patrzyliśmy na siebie, nie mrugając i nie mówiąc słowa. Potem Edmond obrócił głowę na prawo, tak że musnął policzkiem moje ramię, zamknął oczy i zasnął. Ja leżałam jeszcze jakiś czas, zastanawiając się, czy to, co czuję, jest właściwe, bo nie stało się nic więcej poza tym, że mój kuzyn dotknął zupełnie niewinnej części mojego ciała, w dodatku przez ubranie.

Wąchałam zapach tytoniu na włosach Edmonda i czekałam, aż ogarnie mnie sen. Pamiętam, że myślałam o obrazie, który kazano nam przekopiewać na plastyce, zwanym *Spokój przed burzą*. Przedstawiał staroświecki żaglowiec na nieruchomej tafli morza. Niebo w tle mieniło się wszystkimi odcieniami złota, oranżu i czerwieni, i wyglądało jak upostaciowienie spokoju, gdyby nie zielonkavo-czarny fragment w górnym rogu, czyli nadchodząca burza. Z jakiegoś powodu ten obraz mnie prześladował. Może dlatego, że gdy się na niego patrzy, widać, że szykuje się coś strasznego, więc może gdyby ostrzeżono tych ludzi, uniknęliby tragicznego losu.

Określenie „spokój przed burzą” zdawało się właściwie opisywać okoliczności, w których się znaleźliśmy, i wryło mi się głęboko w podświadomość bez względu na to, jak szczęśliwa się czułam w tamtej chwili, bo wzięwszy pod uwagę dotychczasowy przebieg mojego życia, byłam daleka od oczekiwania hollywoodzkich zakończeń w łzawych melodramatach, w których niewidomą dziewczynę gra typowana do tegorocznego Oscara aktorka, a niepełnosprawny chłopiec w cudowny sposób wstaje z wózka i wszyscy szczęśliwie wracają do domu.

Nazajutrz, bez przyznania na głos, że porzucamy plan mieszkania w stodole, poszliśmy do domu, żeby się wykapać i wziąć czyste ubrania, bo jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, czy spanie w owczarni jest romantyczne, to powiem wam, że niespecjalnie – drapiące siano, nietoperze i chłód.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w domu, Osbert się zezłościł, bo sam musiał wydoić kozy, co zwykle należało do obowiązków Piper. Okazało się też, że dzwoniła ciotka Penn z Oslo i powiedziała, że staje na rzesach, aby wrócić do domu, a na razie możemy korzystać z jej konta bankowego i już rozmawiała z dyrektorem banku, który bez problemu wypłaci nam pieniądze. Osbert stwierdził, że sprawiała wrażenie, jakby bardziej martwiła się o losy świata niż o nas. Nie przeszkadzało mu jednak, że nie jest na piedestale, a Piper dodała, że to dlatego, iż ciotka wie, że i tak nic nam nie grozi.

Gdy Osbert mówił o cioci Penn, zdawało mi się, że Edmond na chwilę bardzo pobladł, ale ponieważ stał przodem do Isaaca, nie byłam stuprocentowo pewna. Kiedy odwrócił się w moją stronę, wyglądał już zupełnie normalnie. Powiedział, że ciotka ma wokół siebie ludzi, którzy jej pomogą, jeśli tylko będą w stanie. I to był koniec rozmowy.

Stara dobra poczta królewska najwyraźniej nie miała pojęcia, że szykuje się wojna, i tego dnia dostałam dwa listy: od ojca i Lei. Tata przynudzał na temat Diabolicznej Daviny i tego, jak biedactwo znosi ciężę, tak jakby jej ciężowe niedogodności spędzały mi sen z powiek. Prawda zaś była taka, że miałam nadzieję, iż kostki spuchną jej jak balony, cycki obwisną do kolan, a silikon w ich środku zamieni się w cement. Na koniec listu dorzucił kilka słów, jak to za mną tęskni i że powinnam unikać zagrożenia terrorystycznego, i czy udało mi się choć trochę przytyć. Bla, bla, bla.

List od Lei był dużo bardziej zajmujący, bo opisywała w nim, jak panna Melissa „Luzacka” Banner paplała wszystkim wokół, że ona i Lyle Hershberg spiknęli się ze sobą. No cóż, jeśli to prawda, przysięgam na wszystkie świętości, że przepiszę swoje ziemskie dobra na Armię Zbawienia. Ale raczej nie ma niebezpieczeństwa, że mój odtwarzacz płyt zostanie podłączony do jakiegoś religijnego megafonu, bo Lyle zasłynął z groźenia swojej ostatniej dziewczynie, Mimi Maloney, że jeśli nie będzie zaspokajała Jego Potrzeb przynajmniej trzy razy dziennie, to spełni je gdzie indziej, a Melissa Banner jest ostatnią na świecie stuprocentową dziewicą. Kiedyś, podczas godziny wychowawczej, gdy wszyscy poszli na szkolny apel, Lea przyłapała Lyle’a na tym, jak zaspokaja swoje potrzeby samodzielnie, i powiedziała: „Proszę, proszę, Lyle, nie patrz tylko, ale w twoich portkach zamieszkał jakiś smurf ze wzvodem”. A przynajmniej twierdzi, że tak powiedziała, choć ja zawsze w to powątpiewałam, ale nie myślcie sobie, że jestem nielojalna czy coś.

Chciałam od razu omówić to wszystko z Leą i niemal się rozplakałam z tęsknoty za sprawnym telefonem i pocztą elektroniczną, których braku nie zastąpi mi stu dwudziestu odjechanych kuzynów.

Usiadłam i napisałam jej o Edmondzie, Piper, Isaacu, zwierzętach, domu i wojnie, wszystko nieco ubarwiając, i zanim skończyłam, udało mi się samą siebie przekonać, że Teraz To Mam Git Życie i Rety, Ale Mi się Pofarciło. Prościej jednak powiedzieć, niż zrobić. Nie tak łatwo uwierzyć, że Bóg się do ciebie uśmiechnął, skoro prawda wygląda tak, że z powodu intryg podłej macochy musiałaś zamieszkać u obcych ludzi, nie wspominając o roli, jaką w tym wszystkim odegrał twój oficjalny rodzic.

Potem znowu przyszedł Osbert z miną zbitego psa i powiedział, że było więcej ataków,

tym razem w USA.

Żeby nie wyjść na niewrażliwą, spytałam:

– To straszne. Gdzie?

Odparł, że w Pittsburghu, Detroit i Houston, które wymówił jak „Huuuuston”. Cieszyłam się, że nie wysadzili Upper West Side, ale w głębi duszy zaczęłam snuć przyjemne fantazje o tacie i Davinie kuśtykających w bandażach i błagających, żebyśmy ich do siebie przyjęli. A my im na to: „Okropnie nam przykro, ale lotniska nie działają. Gdyby nie to, z radością byśmy was ugościli, naprawdę”.

Tego dnia spróbowałam też zjeść trochę bekonu, bo Edmond mnie o to poprosił, ale smakował jak wieprzowina, więc go wyplułam.

Myślę, że nadszedł właściwy czas, żeby opowiedzieć o Isaacu, który przez to, że rzadko się odzywał, był wykluczony z większości działań. Jednak zaczynam sobie zdawać sprawę, że to właśnie takich milczków jak on trzeba mieć na oku.

Z początku prawie go nie zauważałam, tak byłam zaabsorbowana Edmondem i Piper, która trzymała mnie za rękę, gdakaniem kurczaków, szczekaniem psów, beczaniem owiec, nie wspominając o wysadzeniu połowy planety w powietrze oraz buczeniu rur kanalizacyjnych rozlegającym się dzień i noc. Tak więc dostrzeżenie, że podczas gdy Piper i Edmond czuwali nade mną, to Isaac czuwał nad nimi, zajęło mi sporo czasu.

Nie robił tego w sposób nachalny, tak jak Osbert, który wtrącał się do każdej rozmowy, żeby przekazać najważniejsze informacje, dając do zrozumienia, że to na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za Dobro Rodziny, co wyczerpuje go do tego stopnia, że nie ma siły już na nic poza zgrywaniem starszaka. To wszystko okraszone głębokim westchnieniem.

Z kolei Edmond był całkowicie szczery, nawet jeśli każdego dnia zadziwiał mnie na milion sposobów. Wystarczyło tylko spojrzeć, w jaki sposób ci się przygląda, żeby zrozumieć, że przysłuchuje się twoim myślom.

Isaac sprawiał wrażenie bardziej nieprzeniknionego i dyplomatycznego, jak mój portier zwykł mówić o każdym, kto nie lubi plotkować. Nie znaczy to, że w sposobie, w jaki obserwował otoczenie, było coś podstępnego czy sentymentalnego. Po prostu akceptował to, co ludzie robią, bez komentarza, wystawiania oceny i chyba bez specjalnych emocji. Nawet członkowie własnej rodziny interesowali go w jakiś abstrakcyjny sposób, niczym okazy laboratoryjne, za które trzeba czuć się odpowiedzialnym i które należy traktować z czułością.

Czasami wydawało mi się, że bliżej mu do zwierzęcia niż człowieka. Na przykład, gdy w dzień targowy spacerowaliśmy po miasteczku, które roilo się od ludzi, nie trzeba było się martwić, że zgubi się w tłumie, nawet jeśli zupełnie się o nim zapomni. Można było iść zygżakiem, skręcać pod wpływem impulsu, zatrzymać się na herbatę, kluczyć bocznymi uliczkami, uznać, że akurat dzisiaj należy wypróbować pieczywo z nowej piekarni, do której nikt z was normalnie nie chodzi, gdy w dodatku w domu jest mnóstwo chleba, więc w ogóle nie ma potrzeby iść do piekarni, a gdy podniesie się wzrok, Isaac będzie tuż przy waszym ramieniu, najzwyczajniej w świecie, jakby stał tam cały czas albo podążał za waszym tokiem myślenia.

Było tak, jakby rozumiał ludzi w jakiś obiektywny sposób i widział całe wasze życie rozciągające się w obu kierunkach, łącznie z tym, czy zamierzacie wstąpić do piekarni, do której i kiedy.

Wobec nie ludzi zachowywał się zupełnie inaczej. W relacjach z psem, koniem, lisem czy borsukiem angażował się każdym włóknom swojego jestestwa. Nawet twarz mu się zmieniała – wyraz uprzejmego dystansu, który prezentował ludziom, ustępował miejsca czemuś skupionemu i ożywionemu.

Zwierzęta też o tym wiedziały. Godzinami można było szukać ciężarnej kotki, a Isaac kazałby wam zajrzeć w zakamarek szopy w ogrodzie i tam właśnie byście ją znaleźli razem z pięcioma kociętami. W dodatku pewnie zdążyłaby już Isaacowi zdradzić, jak każde z nich się nazywa. Piper powiedziała, że ludzie konsultowali się z Isaakiem, gdy chcieli kupić nowego psa, bo wystarczyło, że na niego spojrzeli, a już wiedział, czy coś z nim nie w porządku i że na przykład jest z gatunku tych, które zagryzą niemowlę, bo taki mają kaprys.

Można by się zastanawiać tak jak ja, co interesującego pies albo owca mogą mieć do przekazania komuś takiemu jak Isaac, ale chyba to samo można by powiedzieć o każdej innej

istocie. Na przykład o mnie. Co takiego ciekawego oznajmiłam komukolwiek poza sobą?
Nie licząc psychiatrów.
Ale tym płaci się za słuchanie.

Dziś ktoś zapukał do drzwi. Stało w nich dwóch mężczyzn o znudzonych twarzach z Rady Miejskiej, którzy przyszli, żeby nas zarejestrować oraz „określić naszą kondycję zdrowotną i żywieniową”, czyli to, czy ktoś z nas ma zapalenie wyrostka robaczkowego albo szkorbut.

Mieli ze sobą listę grubości książki telefonicznej z imionami i adresami. Niektóre z nich były odhaczone, a inne wykreślone, a na stronach widniały setki znaków zapytania. Gdy się na nich patrzyło, miało się nieodparte wrażenie, że żałują, iż nie zastanowili się dłużej, zanim zgłosili się do tej roboty.

Po odnalezieniu na liście nazwiska ciotki i wstawieniu przy nim rzędu krzyżyków i znaku zapytania oraz po zadaniu kilku oficjalnych pytań poprosili o rozmowę z naszym opiekunem. Wyglądali na bardzo zdziwionych, że jedyny w naszym domu, który mógłby uchodzić za dorosłego, jest Osbert.

Ale widząc, że niewiele mogą zrobić poza wypełnieniem oficjalnego raportu, którego i tak nikt nie przeczyta, postanowili, że zadadzą nam takie pytania, jak wszystkim innym w okolicy, czyli: „Czy w gospodarstwie hoduje się jakieś zwierzęta na ubój?”. Osbert powiedział, że są owce, ale trzyma się je tylko do chowu, na wełnę i na sprzedaż, kozy spełniają funkcję zwierzątek domowych, a kury wszystkie się niosą, co wydało mi się bardzo zabawne i mogłam już tylko myśleć o kurach, które się nawzajem niosą na barana.

Potem spytali, jak się nazywamy i ile mamy lat, a gdy Osbert powiedział, że jestem ich kuzynką z Ameryki, wyglądali na jeszcze bardziej zdezorientowanych. Koniecznie chcieli zobaczyć mój paszport, a potem zadawali mnóstwo pytań o mojego tatę i o to, dlaczego wysłał swoją jedyną córkę za granicę w takim niespokojnym czasie, na co odpowiedziałam:

– Sama chciałam to wiedzieć.

Obaj spojrzeli na mnie podejrzliwie, czyli tak jak prawie każdy patrzy na mnie ostatnio, i spytali, czy mamy pieniądze na jedzenie. Osbert wyjaśnił, że mamy trochę forsy na koncie jego mamy, a oni na to:

– Zrobimy dla was wszystko, co w naszej mocy.

Potem dodali, że nic nie jest jeszcze przesądzone, ale niewykluczone, że lada dzień zacznie się regramentowanie żywności ze względu na embargo, a wakacje letnie rozpoczną się wcześniej niż zwykle i że powinniśmy trzymać się z dala od szosy. Tak jakby łażenie po szosie było jakąś ekscytującą rozrywką.

Spytaliśmy, co teraz będzie i ile ich zdaniem potrwa wojna, ale sądząc po pustych spojrzeniach, jakimi nas obrzucili, nie mieli pojęcia.

No cóż, serce rośnie, że miejscowe władze są tak troskliwe, ale ich wizyta nie spowodowała żadnych dalekosieżnych zmian w naszym życiu, bo ostatnie kilka dni upłynęło nam głównie na objaniu się i zastanawianiu się, co dalej, oraz na sporadycznych wyprawach do miasta, gdzie godzinami wystawaliśmy w kolejkach i słuchaliśmy, jak ludzie rozprawiają o tym, Co Tak Naprawdę Się Dzieje. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to nikt nie miał zielonego pojęcia, co nie przeszkadzało im udawać, że we wszystkim są zorientowani.

Ludzie mający znajomych albo znajomych znajomych, którym udało się zdobyć telefony komórkowe lub odebrać mejle, mówili, że Londyn jest okupowany, na ulicach są czołgi i żołnierze, a wszędzie wokół szaleją ogień i anarchia. Szpitale najprawdopodobniej pękały w szwach od pacjentów, którzy zostali zatruci lub ranni w atakach bombowych, i wszyscy walczyli o żywność i wodę pitną.

Jeden szurnięty staruszek przekonywał każdego, kto chciał słuchać, że BBC została zajęta przez „Wraże Siły” i że nie można wierzyć niczemu, co mówią w radiu, ale jego żona tylko przewracała oczami i wyjaśniała, że biedaczysko nie wyszedł jeszcze z szoku po ostatniej wojnie z Niemcami.

Wszyscy udawali, że wszystko już wiedzą albo że mają najnowsze wiadomości, tylko że nie wolno im ich przekazywać. Na twarzach ludzi malowało się coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam – mieszanina niepokoju, poczucia wyższości i paranoi przypieczętowana uprzejmym grymasem.

Codziennie schodziliśmy do wsi i wystawialiśmy w kolejce przed sklepem, żeby kupić kilka niezbędnych produktów. Z jakiegoś powodu przypominało mi to program telewizyjny o nazwie *Superwypas w supermarkecie*, w którym zawsze chciałam wziąć udział, tyle że tutaj było mało produktów do wyboru i nie można było biegać po całym sklepie i ładować w torby, ile wlezie.

Najgorsze było to, że musieliśmy wysłuchiwać powszechnie wygłaszanych zwariowanych teorii i nie było szansy udawać głuchego, bo w takim małym miasteczku wszyscy o tobie wszystko wiedzą.

Oto, co zwykle mówiono ściszym głosem, zwłaszcza wtedy, gdy wokół byliśmy my, czyli dzieci, i jeśli wydaje wam się, że to nic strasznego, wyobraźcie sobie, że słuchacie tego w nieskończoność, musząc przy tym uprzejmie się uśmiechać, aż policzki wam zdrętwieją i nabawicie się tiku nerwowego:

1. Mój szwagier twierdzi, że to ci francuscy dranie.
2. Moja znajoma z Chelsea mówi, że wszystko jest rozkradane, a ma najnowszy telewizor szerokoekranowy.
3. Sąsiad w The Lords uważa, że to Chińczycy.
4. Zauważyłeś, że na razie nie zginęli żadni Żydzi?
5. Pod Marksem & Spencerem mają bunkier atomowy, dostępny tylko dla udziałowców.
6. Ludzie zjadają swoje zwierzątka domowe.
7. Królowa dzielnie się trzyma.
8. Królowa jest na skraju załamania nerwowego.
9. Królowa jest jedną z Nich.

I teraz wyobraźcie sobie, że tak wygląda wydarzenie towarzyskie dnia. Jest to konkurs w przekazywaniu najstrasniejszych wiadomości.

Jedna para, która mieszkała w Londynie, ale miała domek weekendowy w pobliżu naszej wsi, a także dwoje dzieci i czystej rasy bouviera des Flandres (jak się okazało, jest to pies), zadekowała się tutaj na Czas Wojny, twierdząc, że jest tu bezpieczniej niż w Londynie. No cóż, pewnie mają rację co do tego, że jest tu bezpieczniej, jeśli nie brać pod uwagę miejscowych, którzy nagle wszędzie zaczęli dostrzegać Swoich i Obcych. Na razie odbywało się to dość cywilizowanie, ale dawało się zauważyć, że wszyscy podskórnie nienawidzą tych ludzi i ich francuskiego pieska i tylko czekają, żeby się na nich odegrać, gdy zabraknie żywności.

Wiele rodzin powodowanych troską pytało, czy chcemy się u nich zatrzymać, ale było dla nas oczywiste, że tak naprawdę wcale nie mają ochoty nas gościć, nawet gdybyśmy sobie tego życzyli, a przecież wcale sobie nie życzyliśmy. Czasami, gdy odpowiadaliśmy: „Nie, dziękujemy”, na ich twarzach odmalowywała się ulga, co mimo wszystko trochę nas rozczarowywało.

Z dnia na dzień ludzie wyglądali na coraz bardziej spanikowanych lub przybierali posępny grymas twarzy i cmokając, mówili, jakie to strasne. Ale gdy tylko się od nich oddaliliśmy, wracał nam dobry humor i w drodze powrotnej cały czas się śmialiśmy – częściowo

po to, żeby rozweselić Piper, a częściowo po to, żeby to wszystko nadal miało posmak przygody, a także dlatego, że świeciło słońce, a spacer był taki przyjemny, z wojną czy bez niej. Bardzo chciałam o tym wszystkim opowiedzieć Lei. O tym, jakie to fajne, że nie ma dorosłych, którzy gderaliby ci nad głową, rób to, rób tamto. Niezależnie od tego, jak smutne miny przybierali ludzie i jak dużo mówili o tym, jakie to straszne, że ginie tylu obywateli, i że Demokracja oraz Przyszłość Naszego Wspaniałego Kraju są zagrożone, prawda, której żadne z nas nie wypowiadało na głos, była taka, że *mało nas to obchodziło*. Większość z tych, którzy zostali zabici, była albo tak stara jak nasi rodzice, więc już zdążyła się nażyć, albo pracowała w bankach, więc byli okropnymi nudziarzami, albo osobami nam obcymi.

Osbert i jego koledzy ze szkoły mówili, że chcieliby mieszkać w Londynie, być szpiegami i węszyć wokół Nieprzyjaciela, próbując uzyskać tajne informacje. Pomyślałam, że gdybym była premierem, to w pierwszej kolejności zwróciłabym się właśnie do Osberta i jego zadzierających nosa kolegów, żeby pomogli mi ratować kraj.

Po południu tego samego dnia znalazłam Edmonda w jednej z dwóch stodół, gdzie karmił zwierzęta. Gdy doił kozy, zaczęłam się bawić z Dingiem. Ding był słodki jak szczeniak i grzecznie trykał mnie łebkiem, dopóki nie podrapałam go za uchem, a wtedy stał jak zahipnotyzowany z przymkniętymi oczami, tuląc się do mnie jeszcze bardziej, a jeśli zrobiłam krok w tył, przewracał się.

W końcu zabraliśmy mleko do domu. Zaczęło padać i poszliśmy z Edmondem do mojego pokoju. Palili papierosy i rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Zadawał mi mnóstwo pytań, które zazwyczaj doprowadzają mnie do szału, na przykład, dlaczego tak mało jem.

Ale z jakiegoś powodu się na niego nie zezłościłam, tylko naprawdę starałam się mu wytłumaczyć, że na początku bałam się, że otruje mnie macocha, jak bardzo ją to wkurzało i jak po jakimś czasie odkryłam, że podoba mi się uczucie głodu oraz to, że doprowadza to wszystkich do strasznej wściekłości, a mój ojciec wydaje fortunę na psychiatrów, i że było to coś, w czym po prostu byłam dobra.

Nie patrzył na mnie, gdy mówiłam, ale po kilku minutach położył się i oparł kolanem o moje kolano. Ogarnęło mnie uczucie z rodzaju tych, których nie wypada żywić do kuzyna, i zaczęłam się w duchu zastanawiać, co jest grane, ale oczywiście nie ma znaczenia, jak skrycie człowiek się w duchu nad czymś zastanawia, jeśli przysłuchuje się temu Edmond. Trzeba mnóstwa praktyki, żeby zwyczajowo uważać na to, co się wypowiada w zaciszu własnego umysłu. Jednak to, że można coś pomyśleć i wiedzieć, że druga osoba od razu to odczyta, ma też plusy. Można zaoszczędzić dużo fatygi.

– Myślisz czasem o umieraniu? – spytał niespodziewanie Edmond.

– Tak – odparłam. – Nieustannie. Ale zwykle tylko po to, by wywołać u innych poczucie winy.

Nic nie odpowiedział, ale gdy dużo później odtwarzałam tę rozmowę w głowie, uświadomiłam sobie, że zapomniałam zapytać go o to samo.

Długo milczeliśmy, słuchając tylko deszczu bębniącego o szyby. Nogi miał oparte o moje i napięcie przepływało między nami w niekontrolowany, poszarpany sposób jak ptak miotający się w czterech ścianach. To uczucie, które rodziło się już od pewnego czasu, było tak silne, że przyprawiało mnie o zawrót głowy. Na razie symulowaliśmy, że to tylko miłość braterska, i recytowaliśmy te wszystkie bzdury, które powtarzają ludzie, gdy chcą udawać, że nie dzieje się to, co faktycznie się dzieje.

Potem spróbowałam przeprowadzić eksperyment i pomyśleć o czymś bardzo dyskretnie. Edmond tylko leżał z zamkniętymi oczami. Czułam jednocześnie rozczarowanie i ulgę, ale właśnie wtedy, gdy miałam zrezygnować i zająć się czymś innym, oparł się na łokciu, spojrzął na

mnie z półuśmiechem i pocałował mnie w usta słodko i delikatnie. Potem znowu się pocałowaliśmy, tyle że tym razem już nie tak słodko i nie tak delikatnie.

Po chwili w głowie, w kończynach, w każdym calu mojego ciała rozlało się uczucie głodu, wielkiego niedosytu Edmonda.

I – o ironio – było to najwspanialsze uczucie, jakiego doświadczyłam w życiu.

Dużo prościej byłoby opowiedzieć tę historię, jakby chodziło o czystą i nieskazitelną miłość między dwojgiem dzieci, na przekór całemu światu, w ekstremalnych czasach i okolicznościach historycznych, ale powiedzmy to sobie szczerze: wciskałabym wam kit.

Prawda jest taka, że wojna niewiele miała z tym wspólnego poza tym, że dostarczyła idealnych warunków, w których dwoje zbyt młodych i zbyt blisko spokrewnionych osobników mogło się bez przeszkód całować. Nie było rodziców, nauczycieli ani lekcji. Nic nie przypominało nam o tym, że tego rodzaju rzeczy nie mają miejsca w Normalnym Świecie. Bo Normalnego Świata też już nie było.

Przez chwilę udawaliśmy z Edmondem, że mamy nad tym wszystkim kontrolę. Potrafiliśmy spędzić cały dzień, nie patrząc na siebie i zachowując się jak gdyby nigdy nic.

Ale było to bez znaczenia. Najwyraźniej to, że przedmiot wprawiony w ruch porusza się ruchem jednostajnym, to prawda. Wielkie dzięki, panno Valerie Greene, nauczycielko fizyki w starej dobrej szkole dla dziewcząt Nightingale-Bamford. Kto by pomyślał, że cokolwiek z tego, co pani mówi, kiedyś mi się przyda?

Chciałam wyjaśnić, że popadanie z nieletnim krewnym w seksualne i emocjonalne zniewolenia nie znajdowało się na mojej liście Spraw Do Załatwienia podczas pobytu w Anglii, ale mam wrażenie, że rzeczy się po prostu zdarzają, czy nam się to podoba, czy nie. A gdy już zaczną się dziać, to trzeba mocno trzymać się poręczy i cierpliwie obserwować, gdzie na końcu wylądujemy.

A w naszym przypadku Rzeczy Działy się lawinowo.

Niebawem zaczęliśmy przesypiać większość dnia, żeby nie marnować nocy, gdy wszyscy inni leżeli w łóżkach. Oczywiście w konkursie na najgorszą możliwą widownię dla zakazanej miłości Piper i Isaac pobiliby wszystkich na głowę. Isaac, dlatego że dzięki jakiejś instynktownej nawigacji zawsze wiedział, gdzie jest Edmond i co bratu chodzi po głowie, choć i tak wystarczyło rzucić na nas okiem, żeby się zorientować, co się dzieje. A Piper, dlatego że była taka dobra i czysta. Gdy nie mogła się połapać w tym, co się wokół niej dzieje, po prostu stała i patrzyła w oczy tak długo, aż wyznało się jej prawdę albo uciekło i gdzieś ukryło. A ponieważ żadne z nas nie paliło się do tego, aby powiedzieć jej, jak jest, większość czasu się chowaliśmy.

Zrobiło się tak namiętne, że byłam pewna, iż ludzie słyszą rezonujący w nas szum. Piper i Isaac nic nie mówili, ale psy były niespokojne i zachowywały się osobliwie. Jakby zapach naszych ciał wzbudzał w nich przestrasz. Gin nie odstępowała Edmonda na krok, tuliła się do jego nóg, gdy próbował odejść, a kiedy tylko usiadł, zwiłła w kłębek pod jego ramieniem, jakby chciała się w nim ukryć. Doszło do tego, że musiał nieustannie ją głaskać, bo w przeciwnym razie zaczynała żałośnie zawodzić i wyła tak długo, aż Osbert nie krzyknął z drugiego pokoju:

– Czy ktoś mógłby uciszyć tego psa?! Niekiedy chcieliśmy być sami. Wtedy Edmond musiał zamykać ją na noc w zagrodzie. Bardzo jej współczułam, bo doskonale wiedziałam, jak się czuje.

Tylko Osbert nie zdradzał oznak podejrzliwości. Był tak bardzo zajęty śledzeniem Upadku Cywilizacji Zachodniej, że nie dostrzegł przejawów procesu rozgrywającego się pod jego nosem.

Ciotka Penn nie dawała znaku życia. Od dnia jej wyjazdu minęło kilka tygodni i codziennie, w każdej chwili, miałam poczucie jakiegoś osobliwie nowego życia, które doskonale harmonizowało z brakiem wieści od ciotki Penn. Widać było, że Piper tęskni za mamą, a ja chciałam zapytać ciotkę o kilka rzeczy, ale w obecnej sytuacji – kiedy do głosu doszła

najmniej stosowna obsesja na tle seksualnym – jej przyjazd byłby nam co najmniej nie na rękę.

A jeśli chodzi o mnie? Było ze mną źle, ale nie na tyle, abym sądziła, że ktokolwiek mający styczność z rzeczywistością za pomocą choćby małego palca u nogi, uzna nasze postępowanie za właściwe.

Tym jednak, którzy gotowi byli mnie aresztować za demoralizowanie niewinnego chłopięcia, mogę powiedzieć tylko jedno: Edmonda *nie dało się* zdemoralizować. Niektórzy po prostu tacy już są, a jeśli mi nie wierzycie, to tylko dlatego, że nie mieliście okazji spotkać takich ludzi.

Wasza strata.

Od początku wojny minęło pięć tygodni.

Prawie każdego dnia dochodziły do nas wieści o kolejnych bombach. Lotniska nadal były zamknięte i często zdarzały się przerwy w dostawie prądu. Wszystkie typowe środki komunikacji międzyludzkiej, łącznie z pocztą elektroniczną i telefonami komórkowymi, były zbyt wolne i zawodne, a telewizja nie działała wcale. Zdaniem Osberta można było wysyłać mejle, ale wracały do nadawcy bez żadnego powodu, podobnie jak esemesy. Czasami docierały do adresata, ale w zmienionej postaci. Czasami przez całe godziny słyhać było tylko sygnał wybierania numeru. Lepiej było po prostu dać sobie z tym spokój i poczytać książkę.

Niespecjalnie mnie to martwiło, bo i tak nikt nie próbował się do mnie dodzwonić, ale Osbert bardzo się niepokoił, bo coraz trudniej było mu utrzymywać kontakt ze swoimi sfiksowanymi na punkcie szpiegostwa kumplami, których życie polegało na organizowaniu potajemnych wypadów do pubu w celu wymienienia informacji. Chociaż ćwiczyli posępne miny, prawda była taka, że z niecierpliwością czekali, aż zaczną się dziać sprawy wielkiego kalibru, żeby móc demaskować kolaborantów i spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy, przenosząc wiadomości przez linię wroga.

Oglądaliśmy te same filmy.

I właśnie wtedy, gdy przyzwyczailiśmy się do naszego nowego życia, codziennego spaceru do miasteczka i czekania godzinami na kilka bochenków chleba i pół funta masła oraz dwa litry mleka (dla dzieci), całą okolicę poddano kwarantannie z powodu wybuchu epidemii ospy, a raczej domniemanego wybuchu epidemii ospy, bo trudno już było rozsądzić, co jest prawdą, a co nie. Osbert i ludzie z kolejki po żywność byli w zasadzie naszym jedynym źródłem informacji, bo nawet głosy w radiu (o ile udało się nam ustawić odbiornik) brzmiały dziwnie. Nie było wiadomo, do kogo należą i czy mówią prawdę. Gazet też nie było, a linie telefoniczne najczęściej nie działały. W każdym razie z powodu tak zwanej Epidemii Ospy zabroniono nam wychodzić na ulice i dwa razy w tygodniu duże czarne ciężarówki rozwoziły paczki z jedzeniem. Zostawiały je na podjeździe i jeśli miało się jakieś specjalne życzenia, można je było spisać na kartce.

Przez chwilę wydawało nam się to dość zabawne. Zapisywaliśmy na liście wiktuały, takie jak czekolada, kielbaski i coca-cola, ale potem Piper się na nas wściekła, bo to głównie ona gotowała i niektórych produktów naprawdę potrzebowała, a przez nasze wygłupy nie dostaliśmy mąki. Nie żeby ktokolwiek się przejmował naszą listą. Zostaliśmy z tym, co mieliśmy.

Okej, rozprzestrzeniała się ospa. Ale ponieważ z dnia na dzień sprawy przybierały coraz gorszy obrót i nie było wiadomo, co jest prawdą, a co nie, łatwiej było traktować te wiadomości jak jeszcze jeden fakt z życia, a nie powód do zmartwień.

No bo sami się zastanówcie. Jest maj na sielskiej angielskiej wsi. Wszyscy wokół mówią, że to najpiękniejszy maj od lat i rany, co za ironia. Z mojej perspektywy scenariusz końca świata wydawał się przez to jeszcze bardziej absurdalny, bo wychowałam się w betonowej dżungli, co prawdopodobnie jest przesadą, zważywszy, że na Upper West Side rośnie sporo zieleni jak na betonową dżunglę. Mowa jednak o kilku ładnych drzewkach tu i tam, podczas gdy w Anglii jest ich zatrzęsienie. I chociaż z każdej strony zalewała nas lawina plotek, wydawało się, że nic *aż tak złego* żadnemu z nas nie grozi. Tymczasem przed domem zdążyło rozkwitnąć jakieś sto tysięcy białych róż, warzywa przrastały dziesięć centymetrów dziennie, a kwietne ogrody stały się tak kolorowe, że od samego patrzenia ogarniała człowieka ekstaza i kręciło mu się w głowie. Jak stwierdził Isaac, który rzadko wyrażał swoje zdanie, ptaki od lat nie były tak szczęśliwe jak teraz,

podczas inwazji, bo nie niepokoiły ich ani samochody, ani rolnicy, więc zajmowały się tylko składaniem jaj i uciekaniem przed lisami.

Otoczenie zaczęło przypominać bajkę Disneya, z wiewiórkami, jeżami i jelonkami przechadzającymi się razem z kaczkami, psami, kurczakami, kozami i owcami, i jeśli ktokolwiek był zdezorientowany całą tą wojną, to właśnie dlatego.

Razem z Piper, Edmondem i Isaakiem każdego dnia mniej więcej o zachodzie słońca przyglądaliśmy się tej szalonej orgii bytów, a potem ja i Edmond wymykaliśmy się do maleńkiej sypialni na górze albo do dużej spiżarki pod okapem dachu, albo do stodoły, albo do jednego z tysiąca miejsc, które znaleźliśmy, żeby próbować, próbować i próbować się sobą nasycić, ale chyba ciążyła nad nami jakaś klątwa, bo im bardziej się staraliśmy stłumić głód, tym stawał się dotkliwszy.

Po raz pierwszy głód nie był ani karą czy przewinieniem, ani narzędziem walki czy autodestrukcji.

Tylko symptomem zakochania.

Czasami wydawało się, że minęły całe godziny, podczas gdy w rzeczywistości upłynęło kilka minut. Czasami zasypialiśmy, a po przebudzeniu zaczynaliśmy w tym samym miejscu, w którym przerwaliśmy. Czasami wydawało mi się, że coś mnie zżera od środka, jakbym miała jedną z tych dziwnych chorób, w których żołądek trawi własną tkankę. A czasami musieliśmy przestać, tylko dlatego że byliśmy niedoświadczeni i wyczerpani, a poza tym nie mieliśmy sił, żeby cokolwiek zrobić z nieustannie rezonującym w nas napięciem.

Potem zasypialiśmy na chwilę, a gdy w końcu wracaliśmy do rzeczywistości, staraliśmy się zachowywać normalnie, czyli pomagać Piper w szukaniu plastrów miodu i liści mleczu albo przez kilka godzin pielic grządki. Przez słoneczną pogodę warzywa pojawiły się wcześniej, niż powinny, i mimo dramatycznych okoliczności wyglądało na to, że jedzenia jest w bród. Ale trwała wojna i racjonowano żywność, więc ja, z takim charakterem, jaki miałam, w warunkach niedoborów poczułam się jak w rajach i wcale nie potrzebowałam ojca posuwającego Davinę w sąsiednim pokoju, żeby stracić apetyt na lata.

Reszta żywiła się jajkami, kozim mlekiem i zieleniną z ogródka. Mieliśmy też zapasy fasoli w sosie pomidorowym, a Piper nabrała wielkiej wprawy w pichcieniu dań z fasoli, ryżu i bekonu, który najczęściej znajdowaliśmy w paczce przydziałowej. W ogrodzie pojawiły się też pomidory i fasolka. Wszyscy poza mną tęsknili za chlebem, o który było coraz trudniej, zwłaszcza za masłem marki Anchor, o którym marzył Edmond, choć moim zdaniem to, co sami wyrabialiśmy z koziego mleka, ubijając je godzinami, w niczym nie ustępowało masłu.

Jedną z osobliwszych rzeczy, z którymi musieliśmy się pogodzić, było to, że nikt do końca nie wiedział, skąd biorą się nasze paczki żywniowe. Z początku sądzono, że są od rady miejskiej, ale niektórzy szeptali, że od Czerwonego Krzyża albo Amerykanów, a jeszcze inni podejrzewali, że od Wroga. Dlatego wiele osób ich nie tykało, tak na wszelki wypadek.

W czasie pokoju wołałam głodować, niż jeść to, co przygotowywała Davina, ale nie przyszło mi do głowy, żeby ktoś chciał nas otruć podczas wojny. Starłam się jeść trochę więcej, żeby Edmond nie patrzył na mnie tym swoim wzrokiem. Po około tygodniu stwierdził, że się poprawiłam, czyli przytyłam, co usłyszawszy, natychmiast ograniczyłam jedzenie.

Ale była mowa o kwarantannie...

Jeśli wierzyć temu, co usłyszał Osbert na jednym ze swoich potajemnych spotkań w pubie, Epidemia Ospy była tylko plotką rozsiewaną po to, żebyśmy wszyscy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą i nie wchodzili nikomu w drogę.

Potem okazało się, że umierają ludzie.

Edmond powiedział, że to odra, a nie ospa, na którą się raczej nie umiera, ale ponieważ

zdobycie antybiotyków graniczyło z cudem, ludzie umierali na zwykłe choroby w rodzaju zapalenia płuc czy ospy wietrznej, a niektóre kobiety nawet podczas porodu.

Z jedzeniem dawano nam ulotki pouczające, żeby gotować wodę i zachować „nadzwyczajne środki ostrożności przy podawaniu sobie noży, narzędzi lub broni, ponieważ nawet drobne zranienia mogą prowadzić do zakażenia i śmierci”. Wydało mi się to bardzo zabawne, bo przecież podobno trwała wojna, a wojny najczęściej prowadzą do śmierci, i to masowej.

Nie wiedziałam, czy jedzenie jest zatrute. Nie wiedziałam, czy rozwinie się u nas infekcja i umrzemy. Nie wiedziałam, czy trafi w nas bomba. Nie wiedziałam, czy Osbert wystawi nas na niebezpieczeństwo zarażenia się jakąś śmiertelną chorobą, którą przywlecze ze swoich tajnych posiadzeń. Nie wiedziałam, czy wezmą nas jako jeńców, będą torturować, mordować, gwałcić i zmuszać do wydania naszych przyjaciół. Byłam pewna tylko jednego: że wokół mnie jest więcej życia, niż widziałam przez wszystkie lata spędzone na Ziemi, i że o ile nikt nie zamierza zamknąć mnie na noc w zagrodzie z dala od Edmonda, o tyle jestem bezpieczna.

Wiedliśmy nasze trywialne, błogie życie małoletnich oddających się seksualnym uciechom, pracy i szpiegostwu, gdy nagle złożono nam wizytę, co po wielu tygodniach samotności trochę nas, delikatnie mówiąc, zdziwiło.

Był to niezbyt obleśny mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Wyglądał na zbyt zmęczonego, żeby silić się na grzeczności. Powiedział tylko:

– Przepraszam, że was niepokoję, ale macie może jakieś prochy?

Staliśmy z wybałuszonymi oczami. Przyszło mi do głowy, że facet po prostu zajął się handlem obwoźnym kokainą, żeby umilić czas ludziom uwięzionym we własnych domach, pozbawionym telewizji i do nieprzytomności znudzonym całą tą wojną.

Pewnie wyglądaliśmy na kretynów, stojąc tam i gapiąc się na niego z rozdziawionymi ustami, bo w końcu mężczyzna spytał, czy mógłby porozmawiać z naszymi rodzicami.

Osbert nadął się, jakby szykował się do wygłoszenia ważnej przemowy, ale w ostatniej chwili zrezygnował z perory, bo powiedział tylko:

– Jesteśmy sami.

Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego, gdy Osbert tłumaczył mu, co się dzieje z ciotką Penn. Choć tego nie skomentował, byłabym zdziwiona, sądząc po wyrazie jego twarzy, gdyby cała sprawa na tym się skończyła.

Podjął mnie więcej w tym samym punkcie, w którym przerwał:

– Przepraszam, powinienem wytłumaczyć, o co mi chodziło z tymi prochami. Nazywam się Jameson i jestem lekarzem. Jak pewnie zauważyliście, toczy się wojna. Staramy się objąć ludzi z tej okolicy opieką medyczną. – Ponieważ nic nie odpowiedzieliśmy, mówił dalej: – Pozamykano wszystkie gabinety lekarskie. W szpitalach brakuje personelu. Robią, co w ich mocy, żeby zająć się poszkodowanymi trafiającymi do nich z miast. Skonfiskowali większość farmaceutyków z aptek, w efekcie czego okoliczni mieszkańcy z podstawowymi problemami zdrowotnymi, takimi jak nadciśnienie czy cukrzyca, mają trudności ze zdobyciem podstawowych lekarstw. Staramy się jakoś panować nad sytuacją, ale potrzebujemy leków. Jesteśmy zdesperowani, zwłaszcza jeśli chodzi o antybiotyki. Dlatego prosimy mieszkańców o wsparcie. Przyda nam się wszystko.

Zerknęłam na Edmonda, który słuchał w taki sposób, w jaki słuchają ludzie przygłusi, i wiem, że próbował wyłowić coś, czego nie powiedziano wprost. Ale Osbert bez zastanowienia odpowiedział:

– Jasne, sprawdzimy na górze.

Edmond poszedł ze wszystkimi przetrząsać szuflady, więc chyba nic nie wzbudziło jego podejrzeń.

Zostałam z doktorem Jamesonem sama. Lustrował mnie wzrokiem, a ja pomyślałam, jak to było miło siedzieć w Anglii i nie widzieć żadnych lekarzy i jaka szkoda, że tak szybko się to skończyło.

Doktor Jameson odezwał się po krótkiej ciszy:

– Od jak dawna to trwa?

Wiedziałam, że nie chodzi mu o wojnę, ale miałam nadzieję, że też nie o mnie i Edmonda. Spytałam, udając, że nie mam pojęcia, o czym mowa:

– Co takiego?

Ale zamiast wygłosić mi wykład i nazwać mnie „młodą damą”, po prostu patrzył na mnie smutnym, zmęczonym wzrokiem. W końcu powiedział cicho:

– Mało to na świecie problemów i bez tego?

Po raz pierwszy nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

W końcu Edmond, Isaac, Osbert i Piper wrócili z naręczem do połowy pustych opakowań, bo ciotka Penn nie lubi wyrzucać rzeczy.

Lekarz spojrzął na nie i posłał nam zmęczony uśmiech.

– Dziękuję – powiedział, a potem podniósł wzrok. – Potrzebujecie czegoś? – spytał po chwili milczenia.

Wszyscy wiedzieliśmy, o co mu chodziło. Miałam ochotę wykrzyknąć: „Nie! Dzięki, nie potrzeba nam żadnych rodziców przydzielonych przez rząd!”, ale nie powiedziałam nic, podobnie jak pozostali, więc mężczyzna westchnął i odszedł.

Po wizycie lekarza wyczuwało się zmianę nastroju.

Nie do końca potrafiłam powiedzieć dlaczego, ale z jakiegoś powodu magia, która zgodnie z naszymi nadziejami miała nas chronić przed światem z zewnątrz, nagle wydała się zbyt krucha.

Tego wieczoru byliśmy bardziej milczący niż zwykle. Razem z Piper ułożyliśmy się w jednym z dużych foteli i czytaliśmy *Flashmana*. Pomimo późnej pory nadal było wystarczająco jasno, żeby czytać przy świeczce. Przez otwarte drzwi i okna wpadało ciepłe powietrze pachnące wiciokrzewem, a psy drzemały przy naszych stopach.

Nagle Piper przestała czytać, spojrzała na mnie z powagą w oczach i spytała:

– Zakochałaś się w Edmondzie?

Przez minutę myślałam nad właściwą odpowiedzią, a potem po prostu powiedziałam:

– Tak.

Wpatrywała się we mnie charakterystycznym dla tej rodziny wzrokiem, który w normalnych okolicznościach uznaliby się za niegrzeczny, bo wchodzi z butami w najintymniejsze myśli drugiej osoby, a potem dodała:

– To dobrze, bo ja też.

Do oczu napłynęły mi łzy. Nic nie mogłam na to poradzić. Otoczyłam ją ramieniem i przez dłuższą chwilę po prostu tak siedziałyśmy. Moje łzy skapywały na jej włosy, a noc stawała się coraz ciemniejsza i miękko nas otulała.

Piper spytała, czy może spać ze mną w łóżku. Zgodziłam się. Poszłyśmy na górę i położyłyśmy się obok siebie na wąskim materacu. Zastanawiałam się, czy czasem nie tęskni za mamą. Mniej więcej w połowie nocy przyszedł Edmond i powiedział, że czuje się samotny i też się położył obok, tyle że twarzą w innym kierunku, bo tylko tak mógł się zmieścić. Nad ranem przyszedł też Isaac, zdziwiony, gdzie się wszyscy podziali. Uśmiechnął się na nasz widok, zszedł do kuchni, przyniósł tacę z dużym brązowym czajnikiem i kubkami i wszyscy usadowiliśmy się na łóżku, jak szczenięta, jedno na drugim, i piliśmy herbatę, a słońce przesączało przez okno gęste i żółte światło.

Edmond, ze swoją osobliwą intuicją, wiedział, że ten dzień będzie wyjątkowy.

– Będzie upał. Chodźmy nad rzekę popływać – powiedział.

No więc wzięliśmy ręczniki i koce, a Piper spakowała do koszyka trochę jedzenia. Założyliśmy buty, a szorty i koszulki, które nosiliśmy codziennie od tygodni, zmieniliśmy na czyste. Isaac zawołał psy, a Piper wzięła ze stodoły Dinga, i wyruszyliśmy z uczuciem, jakbyśmy szli na wagary, co było absurdalne, ale właśnie tak się czuliśmy.

Wdrapaliśmy się po ścieżce, szliśmy i szliśmy, minęliśmy owczarnię, sześć albo więcej pól, i w końcu, po godzinie, przy akompaniamencie dźwięku dzwoneczka na szyi Dinga, dotarliśmy do rzeki. Edmond powiedział, że nie jest tak dobra do łowienia ryb jak ta, nad którą byliśmy pierwszego dnia, ale za to bardziej nadaje się do pływania, bo jest głębsza. Na jej brzegu rozciągała się jedna z najpiękniejszych łąk, jakie widziałam, usiana makami i jaskrami, stokrotkami i dzikimi różami oraz setkami innych kwiatów, których nie rozpoznawałam, tak że gdy się przykucnęło i zmrużyło oczy, wyglądała jak burza barw.

Obok rzeki rosła stara jabłonka, z której właśnie zaczęły opadać kwiaty. Pod nią rozłożyliśmy z Piper koc, pół w słońcu, pół w cieniu, a potem usiadłyśmy po zaciętej stronie, żeby się ochłodzić, a chłopcy zrzucili ubrania i z wrzaskami wskoczyli do lodowatej wody. Próbowali nas ochłapać i wołali:

– Włażcie, bo jak nie, to sami was wciągniemy.

W końcu zdziżyły nam się te docinki i pomyślałyśmy: czemu nie? Piper zdjęła z siebie wszystko, a ja tylko dżinsy, i na palcach weszłyśmy do wody, trzymając się za ręce, popiskując i podskakując, bo była strasznie zimna.

Chłód wody, ciepło słońca i rzeka muskająca skórę niczym delfin przyprawiały o niezapomniane odczucia, których nie sposób opisać.

Ponieważ zmarzłam szybciej niż reszta, która urządziła sobie wyścigi i niczym żółwie wylegiwała się na przybrzeżnych skałach, żeby ogrzać się w słońcu przed kolejnym skokiem, wyszłam i położyłam się na kocu w promieniach ciepłego słońca. Cierpliwie czekałam, aż ciepło uspokoi moją drżącą skórę i stopniowo rozgrzeje mi krew w żyłach. Wtedy po prostu zamknęłam oczy i słuchałam cichego brzęczenia tłustych, upojonych pyłkiem pszczoł, próbując sobie wyobrazić, że wtapiam się w ziemię, żeby spędzić pod tym drzewem całą wieczność.

Edmond i Piper wyszli w końcu z wody. Edmond wciągnął dżinsy, po czym oboje na wyścigi przykładali mi zimne dłonie do brzucha, na co starałam się nie zwracać uwagi, a Osbert i Isaac pluskali się w wodzie razem z psami. Isaac nucił jakąś melodię, a Osbert nieudolnie próbował mu wtórować. Przez chwilę było miło, bo Osbert zachowywał się jak jeden z nas, a nie jak ktoś, kto zawsze ma coś ważniejszego do roboty.

Edmond położył się obok mnie, zapalił papierosa, przymknął powieki i po minucie lub dwóch czułam już gorąco jego ciała oddziałujące na moje ciało. Piper podeszła z płatkami kwiatów w dłoniach i wyrzuciła je w powietrze, tak że posypały się na nas.

Edmond roześmiał się i spytał:

– A to z jakiej okazji?

Piper posłała mu swój smutny uśmiech i odpowiedziała, że na cześć miłości.

W końcu wszyscy powychodzili z wody i leżeliśmy pod tym drzewem długie godziny, rozmawialiśmy i czytaliśmy. Od czasu do czasu ktoś rzucił psom patyk. Piper bawiła się z Dingiem – robiła małe wianki z maków i stokrotek i zakładała mu na różki. Isaac gwizdał na droszda, a Edmond po prostu leżał, ćmiąc papierosa, i bezgłośnie wyznawał mi miłość. Jeśli kiedykolwiek w dziejach ludzkości zdarzył się piękniejszy dzień, to nic mi o tym nie wiadomo.

Zachód słońca przeciągał się dłużej niż zwykle, więc opóźniliśmy nasz powrót. Chłopcy razem z psami znowu pływali w rzece i gdy w końcu ruszyliśmy do domu, zmęczeni i zbyt szczęśliwi, żeby rozmawiać, był już zmrok.

Podobno gdzieś na świecie toczyła się tego wieczoru wojna, ale nas to nie dotyczyło.

Kilka dni później zawitał do nas kolejny gość, tym razem w mundurze armii brytyjskiej. Przyproceedził ze sobą sługusa, żeby robił za niego notatki i odhaczał punkty na liście. Wydawało się, że niby nie przejmuję się tym, że mieszkamy bez dorosłych, ale zauważyłam, że zerka wymownie na papierosa palącego się w ręku Edmonda, i wtedy pomyślałam, rety, jak chcesz tutaj myszkować, to się od razu zdecyduj, co cię szokuje, a wtedy Edmond posłał mi spojrzenie znaczące: uważaj na to, co mówisz w jego obecności, tyle że powinno znaczyć: uważaj na to, co myślisz.

Facet węszył po domu i zadawał mnóstwo pytań w rodzaju, ile mamy pokoi, czy dach czasem nie przecieka, ile jest budynków gospodarczych i kto, jeżeli ktokolwiek, nas odwiedza. Zauważyłam, że Edmond odpowiadając na pytanie o przybudówkach, nie wspomniał o owczarni.

A potem Pan Wojskowy i jego Piętaszek wymaszerowali na zewnątrz, żeby przyjrzeć się rzeźbie terenu, po czym wrócili chwilę później i stwierdzili, że nadaje się idealnie, co mi wcale nie przypało do gustu.

Okazało się, że zarekwirowano naszą nieruchomość, co domagało się wyjaśnień, bo zupełnie nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby ludzie tak po prostu przejmowali czyjś prywatny dom i odsyłali jego mieszkańców nie wiadomo gdzie na Okres Przejściowy. Jedyne, co mi w tej sytuacji przyszło do głowy, to to, że coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć w Ameryce, ale oczywiście, o ile wiedziałam, zielone berety zainstalowały się w Bloomingdale's.

Osbert tak bardzo chciał być pomocny, że cały czas stał na baczność i po raz pierwszy zrobiło mi się go żal, bo było jasne, że tak czy owak, wszyscy będziemy musieli zrobić to, co nam każą. Może Osbertowi wydawało się, że okazując im szacunek, w jakiś sposób nas ochroni. Jeśli chodzi o mnie, praktykowałam to, co umiałam najlepiej, a więc minę wyrażającą coś pomiędzy pustką a nadęsaniem. Podniosłam oczy na Edmonda i dostrzegłam na jego twarzy wyraz bezdennego smutku, ale gdy poczuł na sobie mój wzrok, od razu się uśmiechnął.

Tylko Osbert miał odwagę zapytać o to, co wszystkim nam chodziło po głowie, czyli:

– Co z nami będzie?

Wojskowy spozrzał nieobecny wzrokiem, który wyjaśniał wszystko, co chcieliśmy na ten temat wiedzieć, jak to niby przejmują się naszym szczęściem i jakby odpłynęliśmy niczym zbita masa, łaknąca oddechu wolności, a nikt z nas nie chciał stracić z oczu pozostałych.

Oczywiście nie przyszło mi wtedy do głowy, że możemy zostać rozdzieleni, ale czy znacie kogokolwiek, kto choćby w czasie wojny przyjmie do siebie bandę pięciorga dzieciaków, zwłaszcza takich jak my, którym daleko do bohaterek *Małych kobietek*, nawet jeśli dają z siebie wszystko?

Wojskowy poszedł, a przed wyjściem rzucił, że wróci nazajutrz, zostawiając nas wszystkich w osłupieniu, niezdolnych do wyduszenia z siebie słowa, z obawy, że to, co powiemy, okaże się prawdą.

Tej nocy spałam z Piper i gdy leżałam, czekając, aż zaśnie w moich ramionach, zastanawiałam się, czy doktor Jameson miał z tym coś wspólnego. W sumie przybycie dwóch gości w ciągu jednego tygodnia wydawało się zwykłym zbiegiem okoliczności, choć wcześniej nikt nie zwracał na nas uwagi. Mniej więcej godzinę później, gdy upewniłam się, że Piper jest spokojna i bezpieczna, wymknęłam się do Edmonda. Rozmawialiśmy ze sobą mniej niż zwykle i od razu wtuliliśmy się w siebie, dając sobie pocieszenie i zapomnienie. Zasnęliśmy pod kocami z czarnej wełny i wspólnie śniliśmy jeden sen, w którym na świecie nie został nikt poza nami.

Każda wojna ma momenty zwrotne, podobnie jak życie ludzi.

Najpierw Osbert odjechał z Panem Wojskowym ciężarówką i wrócił cały rozpromieniony, bo dostał pracę. Wyglądało na to, że te wszystkie godziny spędzone na nauce alfabetu Morse'a i udawaniu szpiegów nie poszły na marne. Cieszyłabym się razem z nim, gdyby nie to, że reszta nas została tym samym zdegradowana do statusu Bezużytecznego Cywila i w ogóle przestała go interesować. Myślę, że na swój sposób czuł się za nas odpowiedzialny, ale figurowaliśmy na samym końcu jego listy Spraw do Dopilnowania, bo przecież spoczywał teraz na nim obowiązek ratowania świata.

Około południa w domu zrobiło się gęsto od żołnierzy, którzy wstawiali swoje rzeczy do naszych pokoi, a w stodole montowali radiostację, bez pytania wyrzuciwszy stamtąd zwierzęta, co z początku budziło nasze oburzenie, ale potem uznaliśmy, że większym męstwem będzie milczeć, a jeśli zejdziemy im z oczu, być może nie przyjdzie im do głowy, że jesteśmy dziećmi, którym należy zapewnić opiekę w jakimś innym miejscu.

Posunęliśmy się do tego, żeby zaproponować im lunch, co prawdopodobnie robili także francuscy kolaboranci nadskakujący nazistom, i czułam się jak żaloszny płaszczący się zdrajca, choć teoretycznie byliśmy po tej samej stronie. Ale odmówili.

– Nie, dziękujemy, mamy ze sobą aprowizację – powiedzieli.

Zastanawiałam się, kto i po co nazywa jedzenie aprowizacją.

Piper stwierdziła, że mają lepsze dania od nas, co wcale mnie nie zdziwiło, wzięwszy pod uwagę to, że wyczerpaliśmy wszystkie możliwe kombinacje jadalnych posiłków przyrządzanych z ryżem, a oni wcinali kurczaka z kopytkami.

Tak więc razem z Piper, Isaakiem i Edmondem staraliśmy się nie rzucać w oczy i zastanawialiśmy się, czy przeprowadzić się do owczarni, żeby stać się jeszcze bardziej niewidzialnymi, gdy zjawił się Osbert z poczuciem winy wypisanym na twarzy. Powiedział mi i Piper, żebyśmy spakowały torby, bo będziemy przeniesione do innego domu.

Spojrzałam na niego i wykrzyczałam:

– Nie ma mowy, żebym dała się odesłać do przytułku dla uchodźców na jakimś zadupiu, zwłaszcza tobie.

Osbert przybrał zgnębioną minę, wbił wzrok w ziemię i odparł:

– Rozkaz to rozkaz.

Całe szczęście, że nie kazali mu nas zastrzelić, skwitowałam w duchu.

Piper patrzyła to na mnie, to na swojego brata niczym zwierzątko złapane w potrzask, a Edmond położył mi dłoń na ramieniu dokładnie w chwili, gdy zastanawiałam się, czy nie powinnam czasem przywalić Osbertowi, żeby do niego dotarło, że mówię poważnie.

– Nie martw się – powiedział Edmond bardzo cicho.

– Wcale się nie martwię, bo nigdzie się stąd nie ruszam, i basta.

I patrząc po znękanych twarzach kuzynów, zastanawiałam się, czy to jakaś kwestia kulturowa, że nikt w tym kraju nie mówi „chyba, kurczę, jaja sobie robicie”, gdy kilku nadętych niedorobionych żołnierzyków bawiących się w wojnę każe ludziom opuścić dom i ludzi, których właśnie pokochali.

Osbert ześlizgnął się jak niepyszny wąż i zdałam sobie sprawę, że to koniec. Pięć minut później zjawił się jakiś facet, który przedstawił się jako starszy chorąży Cośtam Cośtam, chociaż wcale nie był taki stary, i chłodnym tonem złożył gorące przeprosiny, a sedno tego było takie, że

mamy się wynieść, czy nam się to podoba, czy nie. Bez ogródek dał nam do zrozumienia, że armia nie jest w nastroju, żeby w kluczowym punkcie dziejów wysłuchiwać awantur jakiejś Amerykanki. Wzięłam Piper za rękę i poszłyśmy na górę. Tam spakowałyśmy wszystkie rzeczy, które wydały nam się potrzebne na tydzień, łącznie z książkami, na wypadek gdyby przyszło nam utknąć z jakimiś miejscowymi troglodytami. Patrzyłam na Edmonda i Isaaca, a nawet Osberta, i próbowałam powstrzymać się od płaczu, a potem Edmond mnie pocałował i powiedział tak cicho, że nikt, może poza Izaakiem, nie usłyszał:

– Weźcie ze sobą Jeta.

– Znajdę cię – oznajmiłam.

Skinął głową, jakby chciał powiedzieć: ja też.

Nasz kierowca nie był zachwycony, że przywlekłam ze sobą psa, ale miałam to w nosie.

Wywrócił oczami i rzucił:

– Wsiadaj.

Odjechaliśmy, zostawiając za sobą prawie wszystkich bliskich ludzi, jakich miałam na świecie, stojących i żegnających mnie smutnym i bezradnym wzrokiem.

Mozna się zastanawiać, dlaczego bardziej nie naciskaliśmy na to, żeby nie dać się rozdzielić, ale wydawało nam się wtedy, że przeżyjemy tydzień rozłąki lub dwa.

To tylko dowodzi, jak niewiele wiedzieliśmy. W każdym razie dałyśmy się załadować do furgonetki. Gdy ruszaliśmy, myślałam o Dingu, ale nie odezwałam się, żeby nie pograżać Piper. Staralam się wziąć w garść, bo uznałam, że skoro zostałam opiekunką Piper, to muszę zachowywać się odpowiednio do tej roli i przekonać ją, że jest ze mną bezpieczna, choćby się paliło i waliło. Ta myśl dodała mi siły i wytrwałości i poczułam się jak antylopa strzegąca młodych. Nagle zrozumiałam, skąd ludzie biorą krzepę, żeby podnosić samochody, pod którymi leżą dzieci, w co nigdy nie chciałam uwierzyć.

Wzięłam ją za rękę i uśmiechnęłam się najdzielniejszym uśmiechem, na jaki było mnie stać. Był szczerzy i choć pewnie nie świadczył o stuprocentowo zdrowych zmysłach, to trochę poskutkował, bo Piper uśmiechnęła się, przytuliła Jeta i zaczęła nucić swoją anielską piosenkę.

Jechaliśmy i jechaliśmy. Próbowałam pilnować znaków drogowych i śledzić trasę, ale było to dość skomplikowane i udało mi się zdziałać tylko tyle, że odnotowałam w pamięci nazwy mijanych miejscowości.

Zaczęłam wymyślać mnemotechniczne wyliczanki, tak jak uczono nas w szkole, ale nie było to proste, bo z upływem drogi musiałam dodawać słowa, a ten, kto wymyślał te nazwy, robił to bez ładu i składu.

Minęliśmy Upper Ellaston, Deddon i Wincaster. New Northfield, Broom Hill i Norton Walton. W końcu poddałam się i nie próbowałam już zapamiętywać nazw miejscowości, tylko patrzyłam na nie z nadzieją, że jeśli będę potrzebowała je kiedyś przywołać, to same staną mi przed oczami.

Byłam trochę zła na te wszystkie programy o szpiegach, w których facetowi zakładają opaskę na oczy i rzucają go na tylne siedzenie, a on i tak znajduje drogę do domu, kierując się gdakaniem kurczaków, dwoma koleinami na drodze i szczeniem psa w tonacji d-moll, co – wiem to teraz z własnego doświadczenia – jest bujdą na resorach.

Największe wrażenie robiły na mnie rzeczy, które były normalne, ale nie do końca.

Na przykład to, że choć dzień był piękny i słoneczny, na ulicach nie było żywego ducha, dzieci nie dokazywały na placach zabaw ani nie jeździły rowerami po chodnikach ani nic podobnego. Na poboczu stało wiele porzuconych samochodów, bo skończyła się im benzyna, na co wpadłam dopiero po jakimś czasie, próbując rozszyfrować, Co Nie Pasuje Na Tym Obrazku.

Były też widoki, które znałam z naszej wsi, na przykład potłuczone albo zabite deskami

witryny sklepów i okna domów, których właściciele zabezpieczali się w ten sposób przed hordami rabusiów plądrujących to zadupie, żadnych gwałtów na gospodyniach domowych i ich zastawy stołowej.

Trafiały się też czołgi. Przeważnie tylko stały na poboczu, a z wjazdu wystawała czyjaś głowa lub ręka z papierosem albo lufa. W niektórych miejscowościach było ich mnóstwo, a znowu potem przez długi czas ani jednego.

Co jakieś trzy czy cztery kilometry mijaliśmy punkty kontrolne. Nasz kierowca musiał się przy nich zatrzymać i okazać dokumenty grupce facetów z karabinami maszynowymi, którzy nie mówili naszą piękną angielską mową, i pomyślałam, rety, a więc jednak istnieje jakiś Nieprzyjaciel.

Wszyscy oni sprawiali wrażenie bardziej obojętnych niż przerażających. Nasz Pan Wojskowy był bardzo uprzejmy w kontakcie z Ich Panem Wojskowym i pomyślałam wtedy, że dobrze, iż nie spędzam dużo czasu na roztrząsaniu spraw związanych z tą wojną, bo jeśli chcecie znać moje zdanie, to wyglądali tak, jakby wszystko im zwisało.

Przez prawie godzinę tłukliśmy się wąskimi krętymi wiejskimi drogami i choć ocenianie odległości nie jest moją mocną stroną – chyba że mowa o kwartałach na Manhattanie – na moje oko przejechaliśmy jakieś dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów, zanim dotarliśmy na miejsce, jadąc w tempie piosenki *My Melancholy Baby* śpiewanej przez ptasi kwartet w koronie drzewa.

Miejsce, do którego przyjechaliśmy, było trochę lepsze, niż się spodziewałam, za co w takich okolicznościach należy być wdzięcznym. Wsiadaliśmy z furgonetki i przedstawiono nas pani McEvoy, która mieszkała ze swoim mężem żołnierzem w prawie nowym ceglany domu przy wjeździe do miejscowości o nazwie Reston Bridge. Pierwsze wrażenie, choć nie zawsze można na nim polegać, sugerowało, że nie jest to osoba, która, gdy sytuacja stanie się napięta, pokroi nas na kawałki i nakarmi nami swoje psy. Ale przecież nie jestem nieomylna.

A skoro mowa o psach, najwyraźniej nie spodziewała się, że przyjedziemy z własnym, ale przyjęła to dość dobrze, zważywszy, że Jet od razu doskoczył do jej ślicznej małej spanielki i bez pardonu zaczął z nią kopulować.

Był tam także czterolatek Albert, na którego wołano Alby, i sądząc po pokoju, w którym nas ulokowała, mieszkał tu jeszcze starszy chłopiec, ale nie wiem gdzie, skoro dostałyśmy jego pokój. Rozpakowałyśmy się. Pani McEvoy przysła na górę i powiedziała, żeby zwracać się do niej Jane, że jej mąż jest Na Służbie i że gdy oboje usłyszeli o naszej niedoli, pomyśleli, że to grzech nie udostępnić miejsca biednym pozostawionym bez opieki dzieciom. Aż musiałam zmrużyć oczy i pomyśleć o Piper, żeby sztuczny uśmiech przyklejony do mojej twarzy nie zmienił się w wyszczerz Jasona z *Piątku Trzynastego*.

Gdy ponownie otworzyłam oczy i na nią spojrzałam, zauważyłam, że pod jej dziarską miną kryje się rozpaczliwy smutek, a jej twarz jest jakaś plamista, jakby ostatnio dużo płakała. Powiedziałam sobie w duchu, okej, każdy na tej wariackiej wojnie ma swoją historię i ta jej pewnie jest tak samo przykra jak reszta albo jeszcze gorsza.

Anioł współczucia trochę się nadwyreżył, gdy zaczęła się rozwodzić nad tym, jak uwielbia amerykański akcent i jaka Piper jest urocza. Jednak po chwili przyzwyczaiałam się do jej sposobu bycia i pomyślałam, że przynajmniej stara się być miła, a to już coś.

Po wypiciu filiżanki herbaty spytałyśmy, czy możemy pójść do naszego pokoju i poczytać przez jakiś czas książki, bo jesteśmy utrudzone podróżą, nie wspominając o tym, że także zmęczone wojną. Położyłyśmy się w naszych identycznych łóżkach, pod obrazkami samochodów wyścigowych i jakimiś dwudziestoma plakatami półnagich nastoletnich gwiazdeczek z cellulitem. Przyszło mi do głowy, że te ściany widziały wiele akcji w stylu Lyle'a Hershberga i jego smerfiątka.

Piper spytała, czy to właśnie tutaj będziemy teraz mieszkać, a ja odpowiedziałam, że to tylko tymczasowe rozwiązanie i że gdy już tu się rozlokujemy, obmyślimy jakiś plan, żeby wrócić do Edmonda i Isaaca. Trochę podniosło ją to na duchu. Widać było, że stara się sprawić mi przyjemność, bo spytała:

– Czy to nie zabawne, że właśnie tutaj wylądowałaś, kuzyneczko Daisy?

– Masz na myśli Reston Bridge? – odparłam.

A ona na to, że nie, że tutaj w Anglii, razem z nią.

Wtedy spojrzałam jej głęboko w oczy, tak że prawie przejrzałam jej umysł na wskroś, więc nie mówcie, że nie jestem spokrewniona z tym całym gangiem telepatów, i powiedziałam:

– Nawet gdyby mnie żywcem pochowano w rowie i ziemię przydeptało stado słońi, to i tak zawsze będę myślała, że mieszkanie z tobą, gdziekolwiek, jest fantastyczną sprawą.

Potem Jane McEvoy zawołała, że jedzenie jest gotowe, więc ciężkim krokiem zeszyliśmy na dół jak nie my, tylko jakieś inne, dobrze wychowane dzieci. Tam spojrzaliśmy po sobie i parsknęliśmy śmiechem, bo kompletnie odwykłyśmy od obecności dorosłych.

Zastanawiałam się, czy ci ludzie naprawdę się nami zaopiekują, czy jednak nadal będziemy zdane tylko na siebie, tyle że w nieco innych okolicznościach.

Gdy później tego samego wieczoru major wrócił do domu, zaczęłam go, gdy tylko przekroczył próg. Zażądałam wyjaśnień, czy przeniesiono gdzieś Edmonda i Isaaca. Jeśli tak, to gdzie.

Z początku stał jak osłupiały, jakby zapomniał, że ma teraz w domu piętnastoletnią córkę, a potem uśmiechnął się nieznacznie i powiedział:

– Chyba nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni. Jestem Laurence McEvoy.

Pomyślałam, okej, ja też mogę grać w tę grę uprzejmości i zaświergotałam słodkim głosem panienci z dobrego domu:

– A ja Daisy. Bardzo bym chciała się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywają moi kuzyni.

Uśmiechnął się i przez minutę bacznie mnie obserwował. Być może starał się ustalić, czy za pomocą informacji, które próbuję od niego wydusić, obalę angielski rząd informacjami. W końcu jednak chyba sobie przypomniał, że jestem tylko dzieckiem zostawionym na pastwę losu w samym środku wojny i w zasadzie jesteśmy po tej samej stronie, i trochę się odprężył.

– Przeniesiono ich do gospodarstwa na przedmieściach Kingly, kawałek drogi stąd na wschód – powiedział. – Jestem pewien, że zobaczycie się w odpowiednim czasie.

Byłam trochę zdziwiona, że z taką łatwością zaryzykował swoim Nazwiskiem i Szarżą i wyjawiał, gdzie są moi kuzyni. Nie wiedziałam, jak to skomentować. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to: „Mógłby mi pan pokazać na mapie, gdzie dokładnie się znajdują i ewentualnie zostawić kluczyki do samochodu, w razie gdyby nasza ochota odwiedzić ich w środku nocy i nigdy tu nie wrócić?”.

Życie powinno bardziej mnie nagradzać za to, że tylu rzeczy udaje mi się *nie* powiedzieć.

Oczywiście, że aby przeżyć, potrzebowałyśmy z Piper jakiegoś planu. I to ja musiałam go obmyślić, bo jej rola polegała na byciu istotą mistyczną, a moja na dbaniu o przyziemne sprawy. Tak po prostu rozdano karty i nie było sensu z tym dyskutować.

Nasz główny plan, którego nie musiałyśmy nawet omawiać, był taki, żeby za wszelką cenę znowu być razem z Edmondem, Isaakiem i Osbertem. Należało tylko dopracować szczegóły.

Udało mi się odszukać walający się gdzieś w domu atlas drogowy Wysp Brytyjskich i znaleźć w nim miejscowości Kingly i Reston Bridge. Okazało się, że stary dobry major Laurence McEvoy powiedział prawdę. Kingly rzeczywiście leżało na wschodzie, niezbyt daleko od domu ciotki Penn, choć trochę dalej od Reston Bridge, niż można by sobie życzyć, zważywszy na tymczasowe trudności w zamówieniu taksówki.

Cudownie dobrą wiadomością było to, że nasza rzeka do pływania i wędkowania jest odnogą tej samej, nad którą leży Reston Bridge. Uświadomiłam sobie, że jeśli chodzi o nawigację, jest to wielki plus.

Ustalmy to od razu: nie jestem mistrzynią w odczytywaniu map. Postąpiłam tak, jak większość praktycznych nowojorczyków zachowuje się w bibliotece publicznej, czyli wyrwałam stronę i schowałam ją w bieliznie. Od tej chwili wszędzie ją ze sobą nosiłam, tak na wszelki wypadek.

Tej nocy położyliśmy się spać wcześniej, bo bez elektryczności nie było sensu długo siedzieć, a świece trzeba było oszczędzać. Nie byłam zachwycona, że mieszkamy w pokoju tego młodzieńca i musimy patrzeć na te wszystkie pindzie na ścianie. Piper też się to nie podobało.

– Daisy... – powiedziała, zasypiając.

– Tak, Piper?

– Zawsze marzyłam o siostrze, i to takiej jak ty. – Zamilkła na chwilę. – Choć zawsze mi się wydawało, że miałyby na imię Amy – dodała.

Zaśmiałam się cicho.

– Nie mam nic przeciwko, żebyś mówiła do mnie Amy – odparłam, ale Piper wyglądała na nieco urażoną, więc przestałam się zgrywać i dorzuciłam poważnym tonem: – Praktycznie rzecz biorąc, to jesteśmy teraz siostrami, Piper.

Taka odpowiedź chyba ją usatysfakcjonowała, bo nie wracała już do tego tematu.

Nie przyznałam się, że tak naprawdę nigdy nie chciałam mieć siostry, a ostatnio wręcz modliłam się, żeby tylko jej nie mieć, ale to tylko ze względu na okoliczności, w których mogłaby się taka począć. Poza tym nie wyobrażałam sobie, abym mogła pokochać kogoś tak, jak pokochałam Piper, choć i tak pewnie na tym padole łez nie istnieje nikt podobny do niej.

Spytała, co z nami będzie. Powiedziałam, że tak naprawdę nie wiem, ale dopóki jesteśmy razem, nic nam się nie stanie.

– Wiesz, co znaczy „niezlomne”? – zagadnęłam.

Skinęła głową, bo przez swoje trwające jeszcze dzieciństwo zdążyła przeczytać więcej książek niż większość ludzi przez całe życie.

– Takie właśnie jesteśmy, dopóki trzymamy się razem – skwitowałam.

Po chwili powiedziała ochryplym głosem:

– Mama pewnie się o nas bardzo martwi.

Cisza, która potem zapadła, była tak rozpaczliwa, że podeszłam do jej łóżka, usiadłam obok i pogłaskałam ją po włosach, starając się nie myśleć, gdzie przebywa ciotka Penn i czy jest żywa. Piper miała jednak rację, bo gdybym była matką, umierałabym ze zmartwienia, nie mając pojęcia, co się dzieje z moimi dziećmi i czy w ogóle jeszcze żyją.

W końcu Piper ucichła. Uznałam, że śpi, więc wróciłam do swojego łóżka i zaczęłam myśleć o swoich sprawach.

Teraz, będąc daleko od Edmonda, mogłam w samotności rozważać wszystkie zmiany, które nastąpiły w moim życiu. Zastanawiałam się, jak to jest, gdy kocha się drugiego człowieka bardziej niż siebie, a troska, żeby nie zginąć podczas wojny, staje się troską o przeżycie tej drugiej osoby.

Wszystko było pogmatwane przez to, że kochałam Piper miłością opiekuńczą, a Edmonda miłością, delikatnie mówiąc, innego rodzaju. Wziąwszy pod uwagę to, że miałam tak samo mało doświadczenia z seksem i chłopakami, co z rodzeństwem, czułam się dość dziwnie, gdy stałam się nagle obiektem żywego zainteresowania ze strony największego na świecie zbiorowiska odmieńców.

I żeby skomplikować sprawę jeszcze bardziej, zaczynałam poczuwać się do odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo i przerażała mnie myśl, że ktoś mógłby ich porwać lub skrzywdzić. Była to zasadnicza odmiana w porównaniu z sytuacją wyjściową, kiedy to oni przynosili mi herbatę i trzymali mnie za rękę. Nie potrafię stwierdzić, kiedy konkretnie dokonała się ta zmiana.

Kręciło mi się w głowie, gdy próbowałam wprowadzić w to jakiś ład. Żałowałam, że nie ma przy mnie nikogo, kogo mogłabym spytać o radę, bo we wszystkich czasopismach, które kupowałyśmy z Leą, ani razu nie pisano o niczym podobnym, co oznacza, że albo to ja jestem świrem, albo wszyscy pozostali mieszkańcy tej planety są niespełna rozumu.

Mój los zarysowywał się jednak absolutnie klarownie i był nieodwołalnie związany z Edmondem, Piper, a nawet z Isaakiem i Osbertem. Tak po prostu było i już. Musiałam tylko zrobić to, czego wymagała ode mnie sytuacja.

Podnosiło mnie to na duchu, a gdy leżałam nieruchomo, słyszałam, jak Edmond o mnie

myśli, gdziekolwiek jest. Rewanżowałam mu się tym samym i w chwilach takich jak te łączyła nas absolutna bliskość.

Różnica między mną a Gin polegała chyba na tym, że gdy zamykaliśmy ją w stodole, myślała, że Edmond jej nie kocha, a ja wciąż czułam przy sobie jego miłość, dzięki czemu nie wyłam całymi nocami. Gdy tak myślałam o Edmondzie, nagle pojedyncze łóżko stawało się zbyt duże. Wślizgiwałam się do Piper, która tak już do tego przywykła, że nawet nie drgnęła. Jet spał pod łóżkiem i cicho oddychał.

Z poczuciem, że wszystko jest na swoim miejscu, w końcu udało mi się zasnąć.

Przez cały ten czas, gdy mieszkaliśmy z Piper u państwa McEvoy, mieliśmy wrażenie, że żyjemy nieswoim życiem.

Ponieważ stanowiliśmy teraz część rodziny wojskowego, mieliśmy dużo klarowniejszy obraz tego, co się dzieje w Anglii, choć pewnie byłoby lepiej, gdybyśmy o niektórych sprawach się nie dowiedzieli, bo były bardzo przygnębiające.

Przez kilka dni zbierałyśmy informację od Jane McEvoy, która lubiła dużo mówić i czuła się samotna, zwłaszcza teraz, gdy jej syn wyjechał do szkoły na północy kraju. Ponieważ odkąd wybuchły pierwsze bomby, nie miała od niego żadnych wieści, strasznie się martwiła, że przydarzyło mu się coś niedobrego, co zresztą wydawało się dość prawdopodobne.

Gdy późno w nocy zeszłam do kuchni nalać sobie trochę wody, usłyszałam, jak rozmawia z majorem. Uspokajał ją, że chłopcu na pewno nic się nie stało i że niedługo, gdy uda im się ogarnąć ten cholerny bałagan, wszyscy znowu będą razem. Sprawiał wrażenie spokojnego i czulego, ale chwilami jego głos przechodził w chrapliwe, zduszone jęknięcie, jak u zwierzęcia duszonego pętlą. Gdy zajrzałam przez drzwi, zobaczyłam, że z udręczoną miną obejmuje drżącą żonę, poklepuje ją i mówi:

– No już, już, kochanie.

Uznałam więc, że jakoś obędę się bez wody.

Nazajutrz rano pani M. miała zaczerwienione oczy, ale poza tym wyglądała normalnie. Opowiadała nam, jak bardzo jest dumna ze swojego męża i że jedna z jego doniosłych misji polega na organizowaniu szpitala polowego dla okolicznych mieszkańców. Jak się okazało, normalne szpitale przyjmują tylko ofiary ataków bombowych oraz ludzi otrutych i zagazowanych w Londynie. Wysyła się ich tutaj, odkąd w tamtejszych szpitalach zabrakło miejsca.

Powiedziała, że ci, którzy umierają na zapalenie wyrostka robaczkowego czy inne typowe schorzenia, trafiają do szpitala polowego, a ofiary wojny – stanowiące bardziej spektakularne przypadki – do normalnych szpitali, ze ścianami i z łózkami.

– Na początku – powiedziała – chodziłam do tego szpitala codziennie. Czytałam pacjentom i bawiłam się z tymi biednymi poranionymi dziećmi. Chciałam na coś się przydać. Ale teraz ze względów bezpieczeństwa wpuszczają tylko personel wojskowy. – Wyglądała na oburzoną i dodała: – Jakbym była dla kogokolwiek zagrożeniem!

Zerknęłyśmy na siebie z Piper i obie pomyślałyśmy to samo: „Skądże, kuku na muniu nie jest przecież zakaźne”.

Potem włączył się major M.:

– Będziecie zdumione, ile rzeczy zagraża cywilom podczas wojny. Na przykład dziecko dostaje zapalenia wyrostka robaczkowego albo łamie sobie nogę, a nie ma telefonu, żeby zadzwonić i powiadomić pogotowie, nie ma benzyny, żeby zawieźć je do szpitala polowego, o ile w ogóle wiadomo, gdzie się taki mieści, i brakuje antybiotyków, żeby powstrzymać rozwój ewentualnego zakażenia.

Powiedział nam też o ludziach chorych na raka, którzy potrzebują drogich leków, i o swojej znajomej w ciąży o grupie krwi RH minus, której dziecko najprawdopodobniej nie przeżyje, i o starszych osobach, które prędzej czy później dostaną zawału i umrą z powodu braku lekarstw, i o tych, którzy już zeszli z tego świata.

Innym razem rozwdził się nad spędzającymi mu sen z powiek problemami w okolicznych gospodarstwach rolnych. Najczęściej chodziło o krowy, których nie można było wydoić dojarką elektryczną, odkąd generatory awaryjne przestały działać, i które trzeba było doić

ręcznie, bo w przeciwnym razie dostawały zapalenia wymion i zdychały. Założę się, że rozważając konsekwencje wojen, nie braliście tego pod uwagę.

Gdy człowiek zacznie myśleć o tym wszystkim, co nie działa jak trzeba, nie widać końca w tym łańcuchu nieszczęść. Na przykład inkubatory dla kurczaków, nie wspominając o tych dla niemowląt, pastuchy elektryczne, monitory szpitalne i cała ta aparatura, która przywraca ludzi do życia, gdy przestaje im bić serce, systemy komputerowe, pociągi, samoloty... Nawet dostęp do gazu do ogrzewania i gotowania jest zależny od elektryczności, jak uświadomił nas major. No i jak waszym zdaniem wypompować wodę ze studni?

Czułam, że powstanie jakiś raport naukowy pod tytułem *Elektryczność. Dobrodzieństwo naszych czasów*.

Jakby tego było mało, pojawił się problem z grzebaniem wszystkich krów, kur i ludzi, którzy zginęli, bo najwyraźniej było mnóstwo zwłok, które mogły przemienić się w niebezpieczną dla naszego zdrowia gnijącą kupę ścierywa, ale to było już zdecydowanie za dużo informacji jak na mój gust i postanowiłam, że przestanę jeść hamburgery i kurze udka, choćbym nie wiem jak się spieszyła.

Major Samo Dobro starał się także rozprowadzać produkty, takie jak mleko czy jajka, żeby obywatele nie umarli z głodu pod okupacją, i zajmował się jeszcze kilkoma podobnymi sprawami, więc można uczciwie powiedzieć, że ręce miał bardziej niż pełne roboty.

Przez kilka tygodni pobytu u państwa McEvoyów drogą osmozy – i dzięki wrodzonej cierpliwości – dowiedziałam się o rolnictwie więcej niż przez całe życie spędzone na dziesiątym piętrze apartamentowca przy Osiemdziesiątej Szóstej, gdzie jedynymi dostępnymi mi „płodami ziemi” były kanapki od Zabara z wołowiną i półkwaśnymi piklami, czyli zwykłym ogórkiem, który jakimś tajemniczym sposobem przeistaczał się w Piklową Przystawkę.

Takie oto rzeczy działy się pod okupacją. Nigdy do końca nie zrozumiałam, jakimi zasadami rządziła się ta niby-okupacja poza tym, że można było robić, co komu żywnie się podoba, o ile nikt tego nie zabronił. Nie rozumiałam, o co chodzi z tą wojną, bo wydawała się inna od tych znanych nam z seriali telewizyjnych.

Gdy dowiedziałam się, co ją wywołało, byłam pod wrażeniem, jak sprytni są ci, którzy to wszystko zaplanowali. O ile dobrze zrozumiałam, po prostu czekali, aż większa część wojsk brytyjskich zaangażuje się w kryzys gdzieś po drugiej stronie planety, a wtedy wmaszerowali tanecznym krokiem i odcięli transport i komunikację, czyli w zasadzie „ochraniali” Wielką Brytanię przed powrotem jej własnych sił zbrojnych, zamiast ją bezpośrednio atakować.

Major McEvoy zasugerował, żebym spojrzała na to jak na wzięcie zakładnika, tyle że w tym wypadku było sześćdziesiąt milionów zakładników, no więc zaczęłam tak właśnie na to patrzeć.

Prawdopodobnie pominęłam kilka istotnych kwestii w tych wyjaśnieniach, ale taki mniej więcej był ich sens, a gdy major wchodził w szczegóły, moje myśli dryfowały ku zagadnieniom takim jak to, czy farbuję sobie włosy i co ich napadło, żeby wybrać tapetę w takim kolorze.

Najwyraźniej zostało jeszcze w Anglii kilku żołnierzy prawdziwie oddanych ojczyźnie. W większości należeli do Armii Terytorialnej. Nazwa tej formacji robi wrażenie, dopóki nie uświadomisz sobie, że to skupisko dorabiających na boku koleśki, którzy spędzają kilka weekendów w roku na przysposobieniu wojskowym i marzą o tym, że dostaną się do Parszywej Dwunastki. Major McEvoy powiedział, że powszechnie wiadomo, że cała sytuacja jest przejściowa i zanim Brytyjskim Siłom Zbrojnym uda się przeorganizować, będzie już po wszystkim, a okupant przejdzie do historii, to znaczy zostanie rozgromiony. Mnie się jednak wydaje, że najeźdźcy chcieli tylko coś udowodnić i wcale nie liczyli na to, że potem wszystko potoczy się dla nich szczęśliwie.

Zdumiewające, jak łatwo wywołać chaos w całym kraju. Wystarczy zatruć ujęcia wody pitnej, odciąć elektryczność i linie telefoniczne, a także podłożyć w kilku miejscach – w tunelach, na lotniskach i w budynkach rządowych – pojedyncze bomby.

Okazało się także, że braki paliwa to również wina Nieprzyjaciela. Major McEvoy powiedział, że benzyna to pierwsza rzecz, jaką zajęto, gdy się zaczął cały ten bałagan. A poza tym, żeby wydobyć ją z ziemi i doprowadzić do baku waszego samochodu, potrzeba... sami zgadnijcie czego.

Trzyście liter, pierwsza „e”.

Oznacza to, że obecność własnych wojsk – choćby ich resztek – to kwestia najwyższej wagi, bo gdy Ci Żli zabiorą wszystko, na czym położą swoje łapy, to przynajmniej Ci Dobrzy rozdziela pomiędzy ludzi to, co pozostało, tak żeby jak najmniej obywateli umarło z powodu zaniedbań i jawnej głupoty.

Jakkolwiek by patrzeć, miałam poczucie winy, że my, dzieci, żyjemy jak u pana Boga za piecem, podczas gdy inni podejmują rozpaczliwe starania, mające zapobiec rozsypaniu się tkanki społecznej. Moim zdaniem było zbyt dużo problemów i za mało ludzi mogących je rozwiązać.

Dawało nam to szansę na wydostanie się stąd i powrót tam, gdzie nasze miejsce. Był to naturalnie nasz cel nadrzędny, ale uznałyśmy, że w tym czasie znajdziemy jakiegokolwiek inne zajęcie, żeby tylko nie umrzeć z nudy, która – jak to sobie uświadomiłam – była głównym winowajcą współczesnych wojen.

Mimo że naśmiewaliśmy się z Osberta i z tego, jak ochoczo włączał się w działania wojenne, dotarło do mnie, że to nasz bilet powrotny do domu.

A przynajmniej taką miałyśmy nadzieję.

Przez cały ten czas byłam w kontakcie z Edmondem. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, nawiedzał mnie. Niezupełnie tak jak Bóg Mojżesza czy anioły Najświętszą Panienkę, żeby powiadomić ją, że zaciążyła z Jezusem, ale też nie do końca inaczej.

Zdarzało się, że gdy miałam odpowiedni stan ducha – byłam wyciszona, wyobcowana, na wpół przytomna – czułam swoistą aurę, nagle światło w głębi oczu, i od razu widziałam, że jest przy mnie. Czułam woń jego tytoniu, ziemi i czegoś ciepłego i korzennego jak bursztyn, gładkie muśnięcie jego skóry, choć nigdy nie ukazywał mi się wprost. Kiedyś miał kaszel, oddychał ciężko i powoli. Innym razem, w zimną noc, gdy mnie całował, drżał na całym ciele. Czasami przygważdżał mnie swoim pytającym mądrojsim wzrokiem, a wtedy zrzucałam wszystkie cumy i dryfowałam w tym uczuciu godzinami.

Raz, w transie, który nie do końca był snem, przed moimi oczami pojawił się pewien obraz i od razu wiedziałam, że to miejsce, w którym mieszkają z Isaakiem. Widziałam też ludzi, z którymi żyją pod jednym dachem, i to, jak spędzają czas. Innym razem słyszałam słabowity płacz niemowlęcia, a Edmond wydawał się zmęczony i smętny. Zniknął, zanim dowiedziałam się, co się stało.

Niezależnie od tego, czy wyczuwałam jego obecność, czy nie, nieustannie z nim rozmawiałam. Opowiadałam mu o Piper, Jecie, państwu McEvoyach i o tym, jak teraz wygląda nasze życie, i nagle w połowie jakiegoś chaotycznego monologu nachodziła mnie pewność, że jest obok i słucha, jakbym wyczarowała go z mgły, wyciągnęła za uszy jak królika z kapelusza iluzjonisty. Najszczęśliwsza byłam wtedy, gdy przychodził i po prostu kładł się obok. Niemal czułam przy sobie ciężar jego ciała. Jego obecność tłumiała – choćby tylko na kilka sekund – tętniący w moich żyłach niepokój, przynosząc ukojenie i łagodność.

Tylko dobrze mnie zrozumcie. Nie zamierzam pisać na ten temat artykułu naukowego. W świat duchów wierzę tak samo jak w dobre intencje Daviny. Po prostu mówię, jak było.

Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że był to rodzaj tej więzi, która każe ludziom do siebie dzwonić w tej samej chwili po pięćdziesięciu latach nierozmawiania. Słyszysz się przecież o rodzeństwie rozdzielonym po przyjściu na świat, adoptowanym przez różne rodziny i żyjącym tysiące kilometrów od siebie, które nadaje potem swoim pierwszym córkom takie samo imię, o psach, które zaczynają wyć w chwili, gdy ich właściciel ginie na wojnie, o ludziach, którzy przewidują w snach katastrofy lotnicze. W normalnych okolicznościach brakuje podstaw, żeby przyjmować możliwość tego rodzaju komunikacji. Poza tym nie za bardzo wierzę w duchy. Plansze ouija i czarne koty znajdują się na samym dole listy moich neuroz.

Chyba więc rozumiecie, dlaczego nie nagłaśniałam tych moich spotkań z Edmondem. Nie byłam nawet pewna, czy chcę o tym powiedzieć Piper.

Chciałam podreperować swoją reputację. Postanowiłam, że tym razem to ja będę tą, która zachowa zdrowy rozsądek.

Przed wypłynięciem na szersze wody chciałam wyjaśnić, o co tak naprawdę chodziło z tą epidemią ospy.

Major McEvoy wyglądał na zmieszanego, gdy go o to spytałam.

– W obecnych czasach nie było to realne zagrożenie dla całej populacji – odparł, a gdy wybałuszyłam oczy ze zdumienia, dodał: – Daisy, wyobraź sobie, co by było, gdyby ludzie tabunami łazili po ulicach, rozsiewali plotki, wpadali w histerię, próbowali zorganizować ataki na wroga i tak dalej? No co?

A potem podał mi swoje szarżę i numer i zmienił temat.

Ponieważ nie byłam kompletnie pozbawiona inteligencji, pojęłam, że jeśli opuścimy ziemski padół, to na pewno nie z powodu ospy.

Co ciekawe, rozumiałam, co skłoniło wojsko do takiej decyzji, ale nadal wydawało mi się to nieuczciwą zagrywką wobec prostych ludzi.

Uporawszy się w myślach z tą jedną sprawą, zaczęłam się zastanawiać, co zrobić, żebyśmy nie gniły z Piper przez resztę życia w Reston Bridge, skoro w szerokim świecie czekają na nas dawno utraceni krewni.

Tak więc po kilku dniach siedzenia, pstrykania palcami, dostawania szалу z powodu nasilającej się klaustrofobii i podejmowania prób przeprowadzenia jakiejś sensownej rozmowy, co sześć sekund walone przez Alby'ego po głowach plastikowym mieczem, poprosiliśmy majora McEvoya, żeby znalazł nam jakieś zajęcie, bo „pracowite z nas pszczołki” i bardzo chcemy pomagać ludziom, co nie było wierutnym kłamstwem, z tym, że ludźmi, którym chcieliśmy nieść pomoc, byliśmy my same. Zastanawiał się przez chwilę, po czym oznajmił, że pomyśli i da nam znać.

Major musiał oczywiście nieźle się intelektualnie napocić, bo przy całej naszej dobrej woli, nasza użyteczność społeczna była nikła. I wtedy przypomniałam sobie o Jecie. Był to z mojej strony przebłysk absolutnego geniuszu, bo wytresowany owczarek i osoba, która potrafi wydawać mu polecenia, w momencie dziejowym takim jak ten, gdy miejscowi rolnicy zaganiali swoje zwierzęta z wielgachnych motorów, do których brakowało paliwa, byli po prostu na wagę złota.

Piper nauczyła się tresury psów od Isaaca. Tych dwoje było urodzonymi zaklinaczami zwierząt i potrafiło sprawić, że psy, kozy i owce, a pewnie także i owady, robiły wszystko, co im się każe. Wystarczyło, że spojrzeli na nie w odpowiedni sposób albo cicho zagwizdali, co dla Isaaca było bardzo wygodne, wzięwszy pod uwagę jego niechęć do mówienia.

Major McEvoy ożywił się, gdy mu o tym powiedziałyśmy, i zażądał zademonstrowania umiejętności rzeźzonego psa pasterskiego. Wystarczyło, że Piper kilka razy zagwizdała, a Jet wypruł do ogrodu. Gdy dopadł do Alby'ego, zniżył grzbiet do ziemi, a potem taktownie i dyskretnie przesuwał go ku nam kawałeczkiem po kawałeczku, aż biedny mały Alby, ze skonfundowaną miną, stanął tuż przed swoim tatą, zastanawiając się, dlaczego ilekroć chciał wrócić do swojej zabawy, Jet zastępował mu drogę.

Piper poklepała Jeta po grzbiecie. Była z siebie bardzo zadowolona. Pomyślałam, świetnie, jesteście na dobrej drodze, żeby tylko dla mnie znalazło się jakieś pożyteczne zajęcie, zanim włożą mnie do skrzynki z napisem mięso armatnie.

Okazało się, że major McEvoy to całkiem miły człowiek. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że oddalenie się z małą śliczną dziewczynką sam na sam – nawet jeśli wokół szaleje wojna – może wyglądać podejrzanie, bo powiedział, żebym poszła z nimi. Puściłam do Piper

oko, a ona odpowiedziała mi uśmiechem.

Nie tylko nasz dom zarekwirovano. Major M. zaczął prowadzić nas każdego ranka do Meadow Brook Farm, czyli największej w promieniu osiemdziesięciu kilometrów hodowli bydła mlecznego, którą powinno się teraz przemianować na Fort Knox, bo roilo się na niej od żołnierzy próbujących zastąpić maszyny gospodarskie.

Problem polegał na tym, że krowy codziennie trzeba było wyprowadzać na pastwisko, bo nie było wystarczająco dużo siana, żeby je wykarmić. Należało też je przyprowadzać i doić dwa razy dziennie, co brzmi banalnie, dopóki nie uświadomi się sobie, że mowa o jakichś trzystu sztukach łączyjących w tę i z powrotem i tabunie żołnierzy snujących się po farmie z gracją słońca w składzie porcelany.

Cudownie było patrzeć na Jeta w akcji. Już pierwszego dnia rozkochał w sobie większość żołnierzy, a Piper stała tuż za nim w kolejce do ich serc. Potrafiła sprawić, że odłączał od stada dziesięć krów i przyprowadzał je do żołnierzy na dojenie, po czym odstawiał na miejsce i eskortował kolejną partię.

Wszyscy ci rośli i przystojni wojacy nie mogli się nadziwić, iż wystarczy, że mała Piper zagwizdże w swój magiczny gwizdek, a ten czarno-biały pies pruje jak strzała dokładnie tam, gdzie mu kazała. Pewnie przypominała im młodsze siostry, które zostawili w domu albo chcieliby mieć, a może nawet samą Najświętszą Panienkę, bo w każdej wolnej chwili gapili się na nią jak cielę na malowane wrota. Widać było, że są szczęśliwi w jej obecności. Wyczarowywała im rodzinną atmosferę.

Zachowywała się tak, jakby w ogóle nie zauważała, że jest w centrum uwagi. Widziałam jednak, że cieszy się, gdy pyta się ją o Jeta i traktuje jak kogoś wyjątkowego. Zwykle o poranku obstępowało ją trzech czy czterech bysiów, którzy kręcili się potem przy niej godzinami, aż w końcu zebrali się na odwagę i zagadywali: „Wygląda identycznie jak mój Łatek” albo „Skąd wie, który gwizd co oznacza?”.

Miałam jednak wrażenie, że tak naprawdę chcą powiedzieć: „Masz najpiękniejsze oczy, jakie widziałem w życiu”.

Było to chyba dość oczywiste, bo tak właśnie oddziaływała na większość ludzi, ale w towarzystwie swoich ekscentrycznych braci pewnie nie cieszyła się należytą atencją. Kłopot w tym, że dla Jeta pracy było za dużo, a dla mnie za mało. Pierwszy problem można by rozwiązać, sprowadzając do pomocy Gin, ale pozostawał jeszcze drugi. Poświęciłam kilka godzin z mojego wlokącego się w nieskończoność czasu wolnego na naukę strzelania, bo uznałam, że któregoś dnia ta umiejętność może się przydać, jeśli nie na wojnie, to na ulicach Nowego Jorku. Było to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać, ale po jakimś czasie nabrałam wprawy, dzięki pomocy tych wszystkich zawodowych strzelców, którzy snuli się po gospodarstwie przebrani za dojarki.

Gdy napomknęłam majorowi McEvoyowi, żeby dokooptował do naszego „oddziału” wojsk brytyjskich Gin, chyba na chwilę zapomniał, że ma nas chronić przed wpakowaniem się w kłopoty i samowolnym przegrupowaniem szeregów, bo, patrząc nieobecny wzrokiem, powiedział:

– Nie, teraz nie ma szans na sprowadzenie Gin. Drogi są nieprzejezdne, a poza tym na Gateshead Farm jest pewnie tak samo potrzebna jak Jet tutaj.

Na szczęście mam za sobą lata praktyki w zachowywaniu kamiennej twarzy. Nie dałam po sobie poznać, że Gateshead Farm znaczy dla mnie tyle, co Chleb z Trzech Ziaren, ale jak każdy dobry tajny agent z dwóch uzyskanych nazw potrafiłam złożyć adres, pozostawiając majora w złudzeniu, że nadal rozmawiamy o psach.

Nic jeszcze nie powiedziałam Piper, bo liczyłam na interwencję Opatrzności w kwestii

tego, kiedy i jak dostaniemy się na Gateshead Farm, położonej na wschodzie, nieopodal Kingly.

Wracając do kwestii psów: w końcu znaleźli jakieś rozwiązanie i sprowadzili młodego, głupawego border collie wabiącego się Ben, żeby asystował Mistrzowi. Tyle że Ben nie był najbystrzejszym psem na świecie, a poza tym bał się krów.

Doszło do tego, że Jet tak dobrze poznał swoje obowiązki, że albo ja, albo któryś z żołnierzy zastępowaliśmy Piper na jakiś czas, żeby mogła próbować wlać trochę oleju do Benowego łba. Ćwiczyła z nim i ćwiczyła, ale bez efektów. Nadal uciekał, wyjąc wniebogłosy, gdy jakaś krowa krzywo na niego spojrzała, ale ponieważ przez większość czasu miały go w nosie, jakoś wytrwał na posterunku.

Jet czasem posyłał mu krytykanckie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam bardzo, ale co ten tuman tutaj robi?”.

Zastanawiałam, czy nie myśli tego samego o mnie.

Prawdopodobnie zdążyliście już się zorientować, że jedzenie nie jest moim ulubionym zajęciem. Jak na ironię, przypadło mi w udziale zadanie polegające na rozdzielaniu żywności.

Powstała cała operacja „Mleko”, w której brali udział Piper i Cudowny Pies Jet. Zabiegi następujące po dojeniu były bardzo skomplikowane. Ponieważ nie można było trzymać mleka w lodówce, należało poddać je sterylizacji poprzez podgrzewanie, co było tak trudne, że w końcu skapitulowaliśmy i po prostu podawaliśmy mleko w staroświecki sposób, czyli prosto od krowy. Wszyscy martwili się, skąd zdobyć sterylne pojemniki, ale w końcu uznano, że najlepiej będzie, jak każdy przyniesie własną butelkę. Wtedy przynajmniej wojsko będzie miało pewność, że mleko, które od nich wychodzi, jest czyste, a jeśli ktoś je potem zatruje, to już nie ich wina.

Kilku miejscowych znało się na uboju zwierząt, więc przypadł im zaszczyt zabijania krów i dzielenia rąbki, co było na tyle krwawą operacją, że wolelibyście, żebym wam o tym nie opowiadała. Byli jednak bardzo lubiani i nagle zaczęło się przy nich kręcić mnóstwo przyjaciół, którzy wcześniej jakoś ich nie zauważali, a teraz ze szczypcami w dłoniach ustawiali się w kolejkę po mięso.

Nagminnie ukręcano kurom łby, zwłaszcza wtedy, gdy nie znosiły wystarczająco dużo jajek. To zdumiewające, jak wielu starszych ludzi nie ma problemu z tym, żeby udusić zwierzę. Piper powiedziała, że to z powodu ostatniej wojny, kartek na żywność i dlatego, że wszyscy hodują drób. Cieszyłam się, że nabieram umiejętności, które mogą być przydatne w przyszłości, zakładając, że w ogóle miałam przed sobą jakąś przyszłość.

I wreszcie każdego, kto miał dość zdrowia i dobrej woli, żeby zbierać owoce i płody ziemi, zaganiano na pola i do sadów. Tam właśnie znalazłam dla siebie miejsce.

Moje pierwsze zajęcie polegało na zbieraniu jabłek, co było bardziej sensowne niż kręcenie się wokół Towarzystwa Adoracji Piper. Z początku ludzie patrzyli na mnie z powątpiewaniem, czy dam radę tak ciężko pracować, ale w tamtych okolicznościach chcieć to móc, a z czasem ludzie stawali się coraz chudszy, więc przestałam się wyróżniać.

Pracowałam z ośmioma innymi osobami – trzema żołnierzami z żonami i dwoma innymi cywilami. Zaczynaliśmy wcześniej rano i pracowaliśmy do zmroku. Już po kilku godzinach potworzyły się grupki, zupełnie jak w szkole.

Byłam w parze z miejscową kobietą. Nazywała się Elena i pochodziła z Liverpoolu, więc przez pierwsze kilka dni większości z tego, co mówiła, nie rozumiałam i vice versa. W końcu zaczęłyśmy plotkować o tym i owym i po niedługim czasie opowiadałyśmy sobie całe historie. Dowiedziałam się, jak poznała swojego męża, Daniela, jakie są ich ulubione filmy i jak często uprawiają seks. Choć była dużo starsza ode mnie i w zasadzie mówiłyśmy dwoma różnymi językami, okazało się, że mogę z nią rozmawiać o wszystkim, nie martwiąc się, że pobiegnie na skargę.

Chciała wiedzieć wszystko o mojej amerykańskiej i angielskiej rodzinie – choć jedyną jej przedstawicielką, którą miała okazję poznać, była Piper – i o tym, jak to się stało, że wylądowałam w obcym kraju, na obcej wojnie, przy zbiorach jabłek. Czasami wydawało mi się, że eksploduję od wewnątrz, jeśli nie porozmawiam o moim nowym życiu z drugą istotą ludzką, zwłaszcza o tych jego aspektach, których nie wolno oglądać młodzieży przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Ilekroć jednak zamierałam otworzyć przed Eleną serce, w ostatniej chwili zmieniałam zdanie. Tak na wszelki wypadek.

Na szczęście wystarczająco zajmujące wydawało się jej to, że pochodzę z Ameryki i wyгнаła mnie z domu zła macocha. Cmokała na to i utyskiwała, i wystarczyło, że zrobiłam

minę zbitego spaniela i pomilczałam przez kilka minut, a nagle zyskałam nową przyjaciółkę, która zagrzewała pozostałych zbieraczy jabłek do nienawiści wobec Daviny, co sprawiało mi niewypowiedzianą radość.

Dali nam duże skrzynki do ładowania owoców. Nie można było byle jak wrzucać jabłek do środka, bo wtedy się obijały, psuły i gniły, dzięki czemu nagle zrozumiałam znaczenie powiedzenia, że „jedno zgniłe jabłko psuje wszystkie pozostałe”, które w kółko powtarzali moi nauczyciele. Albo dwa zgniłe jabłka, jeśli liczyć Leę.

Mieliśmy kosze i drabiny, które trzeba było przestawiać, gdy w danym miejscu wybierało się już wszystkie jabłka. Kiedy kosze zrobiły się pełne albo okropnie ciężkie, podawało się je dalej, a tam wykładano owoce i zwracano koszyki. Było bez znaczenia, czy zbierałam owoce, czy je przekładałam, bo oba te zajęcia były równie męczące. Przez pierwsze kilka dni co jakiś czas musiałam przez dwadzieścia minut poleżeć na ziemi, żeby nie przekręcić się z wyczerpania i bólu rąk. Elena była dla mnie bardzo wyrozumiała – pracowała obok i zasłaniała mnie.

Robota była tak ciężka, że z początku bałam się, że nie dam rady, bo bolał mnie każdy mięsień ciała i to do tego stopnia, że następnego dnia z trudem udawało mi się wstać z łóżka i wsiąść do ciężarówki. Ale nie poddawałam się, bo choć trudno to wytłumaczyć, przekraczanie własnych możliwości to coś, co lubię i co przynosi mi spokój.

Pracował z nami jeden chłopak, kilka lat starszy ode mnie. Czułam do niego antypatię, której on niestety nie odwzajemniał. Miał na imię Joe i zaczął kręcić się obok mnie, próbując zwrócić na siebie uwagę. Opowiadał głupie dowcipy i zadawał pytania kompletnie od czapy, w rodzaju, jak to jest być Jankeską. Elena potrafiła współczuć Joemu, że nie jest bystrzaczą, zwłaszcza jeśli chodzi o odbieranie sygnałów, że jego sympatia nie jest odwzajemniana, ale łatwo zdobyć się na współczucie wobec kogoś, kto nie pożera cię wzrokiem.

– Może jest samotny – powiedziała, a ja spojrzałam na nią, jakby właśnie oznajmiła, że zamierza otworzyć Dom Pomocy dla Nieudaczników Życiowych czy coś w tym rodzaju.

Parsknęła śmiechem i wiem, że to, okropne, ale obie pomyślałyśmy o tym samym – nie bez powodu niektórzy są samotni.

Potem go ignorowałyśmy.

Większość pracowników – poza Piper, mną i kilkoma innymi osobami – mieszkała na Meadow Brook, więc przyjeżdżano po nas co rano o siódmej i odwożono do domu o siódmej wieczorem. Co wieczór zasypiałyśmy w ciężarówce, budziłyśmy się na chwilę, żeby coś zjeść, po czym pakowałyśmy się do łóżek i to wszystko, co miałyśmy z dnia.

Trochę nam to zajęło, zanim się przyzwyczaiłyśmy, ale gdy po pierwszym tygodniu miałyśmy dzień wolny, żadna z nas nie miała siły podnieść się z łóżka. Nawet Jet nie był zainteresowany wyściubieniem nosa spod łóżka, chyba że wołało się go na jedzenie.

Śliwki dojrzały mniej więcej w tym samym czasie co jabłka i niekiedy dla urozmaicenia zmieniałymy jedno na drugie. Ale łatwiej zbierało się jabłka, bo jabłonie miały mniej chybotałe gałęzie i nie trzeba było tak często przestawiać drabiny, a śliwki, które spadły z drzewa, gniły i przyciągały chmary os, więc najczęściej wybierałyśmy z Eleną jabłka.

Elena była raczej tęgawa i widać było, że intryguje ją, dlaczego jestem taka chuda, ale jako rodowita Angielka prędzej dałaby sobie nogi odrąbać do kolan, niż mnie zapytać. Zauważyłam, że patrzy na mnie ze zdumieniem, gdy niemrawo skubię lunch, podczas gdy wszyscy wokół rzucają się na każde jedzenie w zasięgu wzroku. Wojna czy nie wojna, pewnie wdychała w duchu: „Ech, gdybym tylko miała taką samokontrolę jak ta mała”.

Dowiedziałam się, że od siedmiu lat Elena stara się zejść w ciążę i że gdy wybuchła wojna, była w trakcie jakiejś specjalnej kuracji, którą przerwano, a ponieważ ma czterdzieści trzy

lata, nie wie, czy będzie jeszcze miała drugą szansę.

Powiedziałam, że powinna wypożyczyć sobie Alby'ego na kilka dni, żeby potem docenić, jakie to wspaniałe być bezdietną, ale gdy na nią spojrzałam, uśmiechała się na siłę, a jej oczy zrobiły się takie jakieś zamglone, że pożałowałam, że w ogóle się odezwałam.

Po około dziesięciu dniach niektórych z nas przeniesiono do bobu, co było gorsze, bo wciąż trzeba było się garbić. Zaczęły nas boleć zupełnie nowe partie mięśni, ale bób przynajmniej dobrze smakował, gdy się go przyniosło do domu i ugotowało. Doszło do tego, że nic z dostępnego pożywienia nie wzbudzało apetytu, i nawet ja musiałam przyznać, że skusiłabym się na porządny tost, co rozśmieszyło Elenę.

Pewnego wieczoru, gdy w drodze powrotnej do domu mijaliśmy zwyczajowe punkty kontrolne – Piper i ja jak zwykle drzemałyśmy – Joe, który czasami zabierał się z nami do wsi, gdzie mieszkali jego rodzice, nagle wbił sobie do głowy, żeby wstać i zacząć się popisywać – chyba wydawało mu się, że wojna to jakieś otwarte forum dyskusyjne i wszyscy chcą poznać jego opinie. Zaczął wykrzykiwać jakieś obelgi na jednym z punktów kontrolnych, a gdy major McEvoy lodowatym tonem kazał mu usiąść, zignorował go i dalej wrzeszczał swoje: że Johnny z Zagranicy to pieprzony gnojek i jeszcze gorzej.

I nagle jeden z posterunkowych, który go obserwował, wycelował broń i nacisnął spust. Rozległ się huk i połowa twarzy Joego eksplodowała. Wszędzie była krew, a Joe spadł z ciężarówki na drogę.

Piper patrzyła na to wszystko i nawet nie drgnęła jej brew, ale mnie zebrało się na mdłości i musiałam odwrócić wzrok. Gdy znowu spojrzałam, ktoś krzyczał, a cały świat jakby zwolnił i przycichł. Jak zza szyby patrzyłam na strażnika maszerującego w tę i z powrotem i rozmawiającego ze swoim kolegą. Major McEvoy odwrócił na chwilę głowę, przymknął oczy, a na jego twarzy pojawił się grymas rozpacz. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy naprawdę jest przywiązany do tego chłopaka. Potem opuściłam wzrok i z przerażeniem stwierdziłam, że Joe nadal żyje, w gardle mu bulgocze, próbuje ruszyć ręką, tą, której nie przygniótł własnym ciałem. Gdy znowu przeniosłam wzrok na majora M., zdałam sobie sprawę, że robi to, co jego zdaniem jest obowiązkiem przedstawiciela sił zbrojnych ochraniających brytyjskiego obywatela. Patrzyłam – wciąż jakby w zwolnionym tempie – jak wysiada z ciężarówki z zamiarem postawienia Joego z powrotem na nogi i zapewnienia mu bezpieczeństwa, gdy po drugiej stronie drogi rozległa się seria z karabinu maszynowego i siła uderzenia cisnęła majorem o ziemię, a niezliczone dziury w jego ciele wypełniły się krwią. Joe był już stuprocentowo martwy, z mózgiem rozbryzganym wszędzie wokoło, a nasz kierowca nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń, tylko wcisnął gaz i odjechał. Wydawało mi się, że po twarzy ciekną mi łzy, chciałam je otrzeć ręką, ale okazało się, że to krew. Nikt nie wydał z siebie dźwięku, tylko wszyscy siedzieli osłupiali, a ja nie byłam w stanie przestać myśleć o biednym majorze M. leżącym na pylistej drodze, choć jemu było już chyba wszystko jedno.

Byliśmy tak oniemiały, że nie mogliśmy ani mówić, ani płakać. Gdy dojechaliśmy na miejsce, kierowca, bliski przyjaciel majora, wysiadł, a potem stał przez chwilę, zbierając się na odwagę, żeby wejść do środka i poinformować panią M., co się stało. Zerknął jeszcze na nas i powiedział łamiącym się, wściekłym głosem:

– Jakby ktoś miał jeszcze wątpliwości, że trwa wojna.

A sposób, w jaki wypowiedział te słowa, przyprawił mnie o mdłości.

Przez ostatnie kilka tygodni mieliśmy mnóstwo okazji, żeby się zorientować, że biedna pani Jane McEvoy nie jest przy zdrowych zmysłach, i było oczywiste, że to, co się wydarzyło, będzie kroplą, która przeleje czarę.

Zajmowaliśmy się z Piper Albym, podczas gdy majorowa snuła się po domu, lamentując, a żony innych wojskowych przyjeżdżały ją pocieszać, jakby to w ogóle było możliwe. Alby, do którego nie docierało, że jego ojciec nie żyje, był pochłonięty swoją ulubioną zabawą, polegającą na grzmoceniu wszystkim, co jest zasięgu ręki. Po około sześciu godzinach takiej młócki zabrakło mu przedmiotów, którymi mógłby uderzać, więc zaczął się wspinać na swoją mamę i wyc, co tylko pogorszyło sytuację.

Przyjaciel i kierowca majora McEvoya, kapral Francis, powszechnie znany jako Frankie, pojechał z kilkoma innymi chłopakami po zwłoki, ale nie mogli podejść do punktu kontrolnego, bo do każdego, kto znalazł się w pobliżu, oddawano strzały ostrzegawcze.

Gdy przyszedł tego wieczoru do nas do domu, próbowałam mu zasugerować, że może warto podać pani M. leki uspokajające, ale wyglądał na tak zmęczonego i przygnębionego, że nagle pomyślałam, że i tak już robi więcej, niż może, i to na kilku frontach, i że zdobycie recepty na valium mogłoby być ponad jego siły. Choć i jemu nie zaszkodziłoby kilkaset miligramów.

Z kilku jajek i odrobiny mleka Alby'ego zrobiliśmy z Piper coś na kształt omletu. Ugotowałyśmy też trochę bobu i zerwałyśmy śliwki. Większość z nich oddaliśmy Frankiemu, który nie zjadł dużo, i Alby'emu, który zjadł ich bardzo dużo. Potem położyliśmy Alby'ego do łóżka i poszliśmy do naszego pokoju, zostawiając panią McEvoy płaczącą, w zupełnie już ciemnej kuchni, w towarzystwie Frankiego i dwóch żon innych wojskowych.

Noc była niespokojna. Piper budziła się z szeroko otwartymi oczami, dygocząc, i mówiła, że widzi twarz tego chłopca, którego zastrzelono. Wybuchiała szlochem i powtarzała, że chce do mamy, i gdy tylko udało mi się ją uspokoić i ukołysać do snu, historia powtarzała się od nowa. Było mi przykro, że odstrzelono Joemu głowę, ale jeszcze bardziej wkurzało mnie to, że przez jego głupotę zginął major.

Gdy w końcu udało mi się zasnąć, we śnie spotkałam się z Edmondem i opowiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło. Został ze mną dość długo. Nie wiem, czy śniłam, czy cierpiałam na schizofrenię, i szczerze mówiąc, mam to gdzieś.

Około szóstej nad ranem, gdy wszyscy jeszcze spali, do domu wpadło czterech żołnierzy w poszukiwaniu Frankiego. Powiedzieli, że natychmiast musimy się wynieść, że uformowała się straż obywatelska i zaatakowała żołnierzy z posterunku i teraz Nieprzyjaciel chodzi od domu do domu i zabija każdego, kto im się nie spodoba.

Rozpętało się piekło.

Pani M. siedziała bez ruchu, jakby nie rozumiała po angielsku i zapomniała, jak się chodzi, ale wszyscy wokół biegali i krzyczeli. Próbowałam ją zmusić, żeby zajęła się Albym, ale nawet na mnie nie spojrzała. Potem Frankie wziął sprawy w swoje ręce i kazał mi się ubierać. Spakowałam jakieś ciuchy, dwa ciepłe koce i powiedziałam Piper, żeby wzięła jeden ze swetrów majora i zajęła mi miejsce w ciężarówce. Upchałam w koce jeszcze kilka potrzebnych rzeczy, takich jak słoik oliwek i słoik dżemu ze spiżarki, w której nic już nie zostało. Gdy rozglądałam się, czy potrzebujemy czegoś jeszcze, zobaczyłam srebrny kompas z wygrawerowanym imieniem majora, schowany w małej gablotce. Czując się jak hiena cmentarna, rozbiłam ją o podłogę i wyjęłam kompas. Wsunęłam go do kieszeni razem z nożykiem do zbierania owoców.

Sądziłam, że Jet pójdzie za nami do ciężarówki, ale gdy nadszedł czas odjazdu, nigdzie go

nie było. Może przestraszył się całego tego zamieszania. Piper była załamana. Gwizdała na niego i wołała go coraz cieńszym, coraz bardziej spanikowanym głosem i choć wszyscy chcieli, aby mała odnalazła swojego czteronogiego przyjaciela, nikt nie zamierzał ryzykować życiem i czekać, więc przyciągnęłam ją do siebie i odjechaliśmy.

Nawet nie zapłakała. Siedziała tylko i patrzyła pustym wzrokiem, co było jeszcze gorsze.

Jechaliśmy w kompletnym osłupieniu. Alby po raz pierwszy był cicho. Pani M. wciąż siedziała jak skamieniała. Zgodnie z tym, co wskazywał mój kompas, kierowaliśmy się na południe. Zatrzymaliśmy się tylko raz, żeby zabrać kilku żołnierzy, których znałam z Meadow Brook.

Jacyś inni ludzie też próbowali nas zatrzymać, bo w tamtych dniach sam odgłos przejeżdżającej ciężarówki wzbudzał sensację. Niektórzy machali na nas, zastępowali nam drogę albo doskakiwali do boku samochodu, ale Frankie powiedział tylko, żebyśmy nie podnosili głów, i nawet nie zwolnił.

Ja i Piper, ogłupiałe ze strachu i z rozpacz, wczepiliśmy się w siebie kurczowo, a pani McEvoy jak tonący brzytwy trzymała się Alby'ego, który był bardzo podekscytowany, że jedzie samochodem. Po twarzy ciekły jej strumieniami łzy, coraz szybciej i szybciej. Pomyślałam, że straciła męża, i niewykluczone, że także starszego syna, a teraz musiała opuścić dom i jedyne, co jej zostało, to ten śliniący się, nic nierozumiejący dzieciak, dla którego nie wzięła nawet odrobiny mleka.

Jechaliśmy strasznie długo, aż dotarliśmy do dużej stodoły otoczonej wojskowymi ciężarówkami. Wszyscy wysiedli. Frankie powiedział, że zatrzymamy się tu na jakiś czas. Weszliśmy do olbrzymiej zagrody pełnej siana, broni i śpiworów. Wszystko wskazywało na to, że skoszarowano w niej wojsko. Znalazłyśmy sobie z Piper wolny kąt na poddaszu, w którym nie było niczyich rzeczy, i rozłożyłyśmy tam nasze. A potem siedziałyśmy i czekałyśmy, co się stanie.

Alby dobrze się bawił – biegał wkoło i wszystko oglądał. Jedyne, co mogłyśmy zrobić, to nie pozwolić mu się zbliżyć do broni, która wałała się wszędzie, bo gdyby rozerwał się na kawałki, jego zrozpaczona obłąkana matka by tego nie przeżyła.

Żołnierze przychodzili i wychodzili. Wyglądało na to, że mają jakiś plan. Wykonywali swoje zadania i poruszali się w przemyślany sposób niczym mrówki w mrowisku, co działa, dopóki ktoś nie rozdepcze ich kopczyka.

Trochę się zdrzemnęłyśmy. Potem znalazłyśmy stertę gazet i wybrałyśmy te nieliczne, w których nie było zdjęć gołych kobiet. W końcu Piper powiedziała przeproszającym głosem, że jest trochę głodna, i poszła poszukać czegoś do jedzenia. Wróciła z połową bochenka chleba, o który było wtedy tak trudno jak o relikwię drewna z krzyża chrystusowego, i z czymś serowatym o nazwie „twaróg”, co smakowało całkiem dobrze.

Wczesnym wieczorem wrócili żołnierze. Kilku podeszło do nas i opowiedziało, jak wygląda sytuacja. Z tego, co się zorientowałam, przedstawiała się niezbyt dobrze, bo wszystkie te dotąd wyluzowane oddziały Nieprzyjaciela nagle stały się agresywne i wkroczyły do akcji, czyli zaczęły przy byle okazji zabijać ludzi takich jak my.

Oczywiście, było to straszne, ale przynajmniej jakoś odpowiadało moim dotychczasowym wyobrażeniom o wojnie.

Żołnierze przychodzili do nas i nas zagadywali. Niektórzy pamiętali Piper z farmy, ale nikt nie zapytał o Jeta albo o to, co się stało z majorem. Najwyraźniej niektórych pytań lepiej było nie zadawać.

To samo chodziło nam z Piper po głowie, czyli że najpierw było nas pięcioro, licząc Jeta, Gin i Dinga, potem tylko troje, łącznie z Jetem, a teraz jesteśmy tylko my dwie.

Jeśli nie mieliście dotąd żadnych doświadczeń z wojną i zastanawiacie się, ile trzeba czasu, żeby stracić wszystko, co się kocha albo co jest człowiekowi potrzebne do życia, to mogę wam powiedzieć, że wystarczy chwila.

Dziwnie było spać w tej stodole ze wszystkimi żołnierzami i wcale nie czułam się tak bezpiecznie, jak mogłoby się wydawać, zważywszy, ile broni walało się w pobliżu. Pewnie chodziło o to, że zdałam sobie sprawę, że Ci Żli mogą próbować się dowiedzieć, gdzie śpią Ci Dobrzy, i ich zaatakować. Ale niewiele mogliśmy na to poradzić.

Zaanektowałyśmy z Piper mały kącik pod okapem, w którym czułyśmy się bezpiecznie, rozłożyłyśmy koce i zrolowałyśmy ubrania zamiast poduszki pod głowę. Poszłam jeszcze sprawdzić, czy z panią McEvoy i Albym wszystko w porządku i czy nie marzną. I nie, nie marzli, ale nie wszystko było u nich w porządku. Posiedziałam chwilę, próbując porozmawiać z panią M., ale na niewiele to się zdało, bo chyba straciła kontakt z rzeczywistością, więc cokolwiek powiedziałam, brzmiało po prostu idiotycznie.

Nie mogłam zostać przy niej dłużej, bo bałam się, że udzieli mi się jej rozpacz, więc wymyśliłam jakąś głupią wymówkę i wdrapałam się z powrotem na poddasze.

Skuliłyśmy się z Piper pod kocami. Panował wielki harmider, bo żołnierze przygotowywali jedzenie, układali broń i przekrzykiwali się dowcipami z jednego końca stodoły na drugi, z których większość nie nadawała się do powtórzenia. Wreszcie zgasili lampy sztormowe i część poszła spać, a część stanęła na warcie, która zmieniała się co kilka godzin. Nie powiem, żeby spało nam się wyjątkowo dobrze, ale i nie najgorzej, bo zdążyłyśmy się już trochę przyzwyczaić do trudnych warunków.

Baz, jeden z żołnierzy, którego poznałam podczas dojenia krów, każdego ranka przynosił nam owsiankę z mlekiem i herbatę. Byłyśmy mu ogromnie wdzięczne, a on zapalał wielką sympatią do Piper i siedział z nami, aż zjadłyśmy, opowiadając o wszystkim, o czym się dowiedział.

Mówił, że śmierć majora i Joego wywołała straszną zadymę w okolicy, a tego właśnie wszyscy chcieli uniknąć. Najwyraźniej Nieprzyjaciel nie palił się do walki tak samo jak my, bo pozwolił naszej armii robić to, co miała do zrobienia przez większą część trzech miesięcy.

Ale teraz nastroje się pogorszyły i pojawiły się bandy głupich wieśniaków, uzbrojonych w strzelby na kaczkę, którzy strzelali na oślep do czołgów, przeważnie przypłacając to życiem.

Baz był inteligentny. Starał się też być zabawny i nas rozweselić. Dał nam nawet kiczowate książki w miękkich okładkach, żebyśmy miały jakieś zajęcie. Powiedział, że zajrzy do nas po skończonym patrolu.

Gdy wrócił, Piper akurat pomagała w kuchni polowej, więc skorzystałam z okazji i w tajemnicy opowiedziałam mu o naszym planie dołączenia do braci Piper. Wyglądał na zaniepokojonego perspektywą, że wyruszymy w drogę zupełnie same, jednak nie powiedział nic w rodzaju: „Odbiło wam?”, podcinając nam skrzydła.

Spytałam, czy jego zdaniem to możliwe, by Isaac, Edmond i Osbert nadal mieszkali razem. Wzruszył ramionami i odparł:

– Teoretycznie wszystko jest możliwe, ale wkoło mamy straszną zadymę. – Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby próbował wyczuć, do czego jestem zdolna, i dodał w końcu: – Nigdzie tak naprawdę nie jest bezpiecznie. Przy nas macie z jednej strony lepiej, z drugiej gorzej... – Przerwał na chwilę, udając, że rozproszył go jakiś hałas, i podjął na nowo: – Ale gdybyście trzymały się z dala od szos i oczywistych zagrożeń, może nic by się wam nie stało. Najlepiej unikać kontaktu wzrokowego z obcymi, bo ludzie są na skraju wyczerpania nerwowego. Poza tym większość żołnierzy Nieprzyjaciela zdaje sobie sprawę, że nigdy nie wróci do domu i niewiele ma do stracenia.

Znowu zamilkł.

Tym razem dlatego, że zobaczył Piper wracającą z kuchni z miską zupy. Na widok Baza uśmiechnęła się tym swoim pięknym uśmiechem. Umościła się przy nim na sianie, otarła o niego jak kociątko i zaczęła jeść kolację.

Zadziwiające, jakie sojusze tworzą się podczas wojny. Widać było, że Baz jest przeszczęśliwy, siedząc obok Piper, i nie było w tym nic zdrożnego. Po miesiącach spędzonych wyłącznie w towarzystwie śmierdzących, bekających i pierdzących facetów obecność Piper, z jej wielkimi oczami i czystą duszą, sprawiała, że jedyne, czego pragnął, to oddać życie w jej obronie. Na mnie nikt nie reagował w ten sposób, ale szkoda by było, żebyśmy obie się marnowały, występując w rolach świętych.

Tamtego wieczoru Baz przesunął swój śpiwór z drugiej strony poddasza i rozłożył obok naszego kącika. Gdy przebudziłam się po kilku godzinach, zobaczyłam, że pół siedzi, pół leży, skupiony i czujny, i zerka na nas co chwila, żeby się upewnić, że jesteśmy bezpieczne, czym przypominał mi Jeta.

Przez ten tydzień, który spędziłyśmy upchnięte na sianie z żołnierzami Armii Terytorialnej, Piper sprawiała wrażenie bardziej zamkniętej w sobie niż zwykle. Dla mnie jednak był to tylko jeszcze jeden rozdział mojego coraz bardziej surrealistycznego „zwykłego życia” i przez większość czasu czułam spokój, jakby nic pod słońcem nie mogło już mnie zadziwić.

Nie licząc pani majorowej, byłyśmy w tych koszarach jedynymi przedstawicielkami płci pięknej, w związku z czym traktowano nas jak królowny. Żołnierze przynosili nam jedzenie, przychodzili na pogawędki albo pograć w karty i w ogóle obchodzili się z nami jak z maskotkami albo świętymi relikwiami, podczas gdy w rzeczywistości byłyśmy tylko dwojgiem umorusanych dzieci, ukrywających się w zakurzonej pomieszczeniu bez okien, czekających, aż dopadnie nas wojna.

Większość żołnierzy była normalnymi, życzliwymi ludźmi, czego bym nie podejrzewała w czasach sprzed wybuchu wojny. Prawdopodobnie nigdy się nie spodziewali, że zostaną wcieleni do służby czynnej, nawet jeśli pracowali w wojsku na pół etatu. Przez większość czasu odnosiło się wrażenie, że są samotni, mają dość i tak samo jak my chcą wrócić do domu i swojego dawnego życia.

Ponieważ niewiele mieliśmy wspólnych tematów do rozmowy, wciąż pytałam ich o obozowanie w dziczy, zdobywanie pożywienia i tak dalej. Tak bardzo lubili się nad tym rozwodzić, że wątpię, aby kiedykolwiek się zastanawiali, dlaczego tak mnie interesują kwestie związane z survivaliem.

Ponieważ odradzano nam częste wychodzenie na dwór, głównie czytałyśmy, pomagałyśmy w całym tym bałaganie i spałyśmy. Niespecjalnie się to różniło od pobytu u państwa McEvoyów, poza tym, że było bardziej tłoczno i z większą liczbą osób można było uciąć sobie pogawędkę. Ponieważ miałam mnóstwo czasu, z którym nie wiedziałam, co zrobić, dużo myślałam, głównie o tym, jakie to dziwne, że życie w tej pozbawionej okien szopie, tysiące kilometrów od Ameryki, pośród tabunu żołnierzy, wydaje się bardziej rzeczywiste niż to, które wiodłam dotychczas.

Przywykłyśmy do zasypiania pod czujnym okiem Baza, dostawania jedzenia pod nos i prowadzenia dziwnych rozmów z nieśmiałymi dwudziestolatkami dla zabicia czasu. Nawet odgłosy wydawane przez tych wszystkich mężczyzn, z których większość nie uszłaby w eleganckim towarzystwie, dawały w jakimś sensie poczucie bezpieczeństwa.

Baz zyskał wyjątkową pozycję jako opiekun Piper i już po pierwszym dniu wytworzyła się między nimi bratersko-siostrzana więź, zapewne dlatego, że w swoim krótkim życiu nawiązywała głównie relacje z braćmi. Baz był bardziej normalny niż jej bracia, ale coś w jego czujnej obecności przywodziło mi ich na myśl. Ciągnie swój do swego, jak to mówią. Niestety to rodzinne szczęście harcerek nie mogło trwać wiecznie.

Kilka dni później, około czwartej nad ranem obudziły nas krzyki i harmider.

– Spakujcie rzeczy i czekajcie tutaj – rzucił Baz i zniknął w tym chaosie.

Niewiele widziałyśmy, bo było ciemno, ale po chwili usłyszałyśmy strzały. Przybiegł Baz i wyprowadził nas drzwiami stajennymi, wziął nasze rzeczy i bieглиśmy, bieглиśmy, bieглиśmy, aż bałam się, że z bólu pękną mi płuca, w dodatku ciągle się potykałam, bo nie było księżycy i noc była czarniejsza niż atrament. W końcu znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni i przystanęliśmy, dysząc.

– Widzicie, gdzie niebo robi się jaśniejsze? – spytał Baz. – Tam jest wschód. Po prostu idźcie w tę stronę i kierujcie się na NNE na kompasie, a nie NE, bo zbłądzicie.

Dobrze, że mi to powiedział, bo jako rodowita mieszkanka Nowego Jorku wiedziałam, że Uptown jest na północy, ale niewiele więcej. Nie miałam pojęcia o różnicy między NNE a NE i cieszyłam się, że ktoś mnie w tej kwestii oświecił.

Piper zrozumiała, że Baz nas zostawia, i się rozplakała. Wziął ją na ręce, jakby ważyła tyle co piórko, przycisnął z całych sił, pocałował w policzek i powiedział:

– Daisy się tobą zajmie.

Puścił do mnie oko, jakbyśmy byli w jakiejś znowie, bo chyba jednak byliśmy.

Przytulił ją po raz ostatni i wcisnął mi w dłonie ciężki pakunek. Zanim zdążyłam się zorientować, co to jest, już biegł tam, skąd przyszliśmy.

– Chodź, Piper! – zawołałam. – Nie zatrzymujmy się, dopóki nie zrobi się na tyle jasno, żeby znaleźć jakieś miejsce na kryjówkę. Odpoczniemy, kiedy zrobi się widno.

Gdy oddaliśmy się na tyle, że odgłosy karabinów przeszły w ciche trzaski, powiedziałam, że wiem, gdzie są Isaac i Edmond, że mam mapę, że zdradziłam Bazowi, jaki mam plan, i że wypytywałam żołnierzy w stodole o rady, jak przetrwać w dziczy. Piper wyraźnie się ucieszyła, usłyszawszy te wszystkie zdumiewające informacje.

– Gdy wstanie słońce, rozejrzemy się za miejscem na biwak – powiedziałam i obie parsknęłyśmy śmiechem na to harcerskie słownictwo.

Należy w tym miejscu dodać, że ścieżki dla pieszych to nieoceniony wynalazek dla tych, którzy podróżują daleko, a wolą unikać dróg.

W amerykańskim lesie chyba musiałybyśmy wyrąbać sobie przejście maczetą, a tutaj wszystko było elegancko i cywilizowanie, a większość ścieżek oznakowano małymi strzałkami prowadzącymi do furtek. Nawet gdy opuściliśmy gospodarstwo i znalazłyśmy się na terenie niezabudowanym, bez płotów, ścieżka nadal była oznakowana.

Wydawało się, że znajdujemy się w odległości tysięcy kilometrów od innych istot ludzkich i choć noc była zimna, szłyśmy i szłyśmy, i dopiero o wpół do dziewiątej, gdy słońce było już wysoko na niebie, a powietrze się ociepliło, uznałam, że czas poszukać jakiejś kryjówki.

Ścieżka z jednej strony była ogrodzona kamiennym murem porośniętym porzeczkami i jakimś innym ciemnym krzewem, za którym rosły cherlawe drzewka, i choć wysokość poszycia leśnego nie przekraczała metra, dość szybko zrobiło się gęsto, dzięki czemu raczej nie groziło nam zboczenie z drogi.

Nie miałyśmy pojęcia, czy jesteśmy bezpieczne. Jeden z żołnierzy mówił, że setki ludzi uciekają z terenów, gdzie trwają walki, na wieś, żeby się tam zaszyć i przeczekać niespokojny czas. Ale miałam wrażenie, że ścieżek dla pieszych jest w Anglii aż nadto i że przeciętny uchodźca nie będzie zainteresowany nawiązywaniem kontaktów towarzyskich. Żołnierz przekonywał mnie, że większość tych ludzi to Anglicy, ale dodał, że to wcale oznacza, że nie będą do nas strzelać.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że oddziały Nieprzyjaciela spędzają cały wolny czas na przedzieraniu się przez gęstwinę w poszukiwaniu zagubionych ludzi, których można by zastrzelić, ale uznałam, że lepiej tak długo, jak to możliwe, nie rzucać się w oczy.

Gdy słońce zaczęło przygrzewać, zatrzymałyśmy się na odpoczynek. Znalazłyśmy przyjemne, suche miejsce na ziemi, jakieś piętnaście metrów od ścieżki. Nie byłoby nas widać z drogi, gdybyśmy usiadły albo się położyły, co i tak miałyśmy zamiar zrobić.

Pakunek, który dał mi Baz, już na początku był dosyć ciężki, a teraz z minuty na minutę robił się coraz cięższy. Z ulgą postawiłam go na ziemi i otworzyłam, żeby się dowiedzieć, czy warto go ze sobą nieść. W środku znajdowały się wszystkie rzeczy, które prawdopodobnie powinnyśmy były ze sobą wziąć, ale tego nie zrobiłyśmy: butelka wody, trochę chleba, spory kawałek twardego sera, salami, zapalki, duża płachta folii złożona w kostkę, nylonowa lina,

metalowa miska. I pistolet. Zapakowałam zapalki i broń z powrotem do torby, a jedzenie i pozostałe rzeczy włożyłam do środka zwiniętych koców. Dla poprawienia nastroju w pierwszym dniu naszej wędrówki przygotowałam na śniadanie kanapki z dżemem. Smakowały obiecująco.

Popiliśmy je wodą i gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, położyliśmy się na trawie, żeby odpocząć, i gdyby nie to, że byliśmy w trakcie przymusowej ucieczki w miejscu zapomnianym przez Boga, czułybyśmy się całkiem szczęśliwie.

Ucięliśmy sobie drzemkę, a potem nazbierałyśmy jeżyn i je zjadłyśmy. Ponieważ wszędzie wokół było niemiłosiernie cicho – nie licząc śpiewu ptaków i brzęczenia owadów – postanowiłyśmy ruszyć dalej, za dnia, bo choć teoria przemawia za wyższością przemieszczania się w nocy, łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, jeśli trzeba iść po omacku i to nie wiadomo dokąd. Trzymanie się jednocześnie ścieżki i wskazań kompasu okazało się niełatwe w świetle dnia, bo dróżka odbijała lekko na północny wschód, a my miałyśmy się kierować na północ, północny wschód. Postanowiłyśmy, że przy najbliższej okazji po prostu skęcimy bardziej na północ.

Jedno, czego miałyśmy pod dostatkiem, to jeżyn. Z braku innego pożywienia pożerałyśmy je garściami, co nie najlepiej wpływało na żołądek, ale smakowały tak dobrze, że starałyśmy się tym nie przejmować. Szłyśmy przez cztery czy pięć godzin, a gdy słońce się obniżyło, zaczęłyśmy szukać miejsca na nocleg. Dostrzegłyśmy dom, ale gdy podeszłyśmy bliżej, okazało się, że jest doszczętnie spalony. Została tylko jedna ściana, pod którą rozbiłyśmy tymczasowy obóz. Był wrzesień i temperatura spadała dość szybko i choć nie było jeszcze bardzo zimno, to jednak nie przeszłyśmy szkolenia SAS i nie miałyśmy wprawy w spaniu pod gołym niebem. Przywiązałyśmy linę z jednej strony do gałęzi drzewa, a z drugiej do kija wbitego głęboko w ziemię, i rozwiesiłyśmy na niej folię, a jej krańce obciążyłyśmy kamieniami. Konstrukcja zawałała się jakieś sto pięćdziesiąt razy, zanim mogłyśmy wczołgać się do środka z naszymi kocami. Owszem, było niewygodnie, ale byłyśmy przyzwyczajone do leżenia na ziemi, a poza tym okropnie zmęczone, więc jakoś udało nam się zasnąć.

W nocy trochę padało, ale nie zmokłyśmy zbyt. W rogu naszego prowizorycznego namiotu zebrała się woda. Wychłęptałyśmy ją rano, żeby oszczędzić tę w butelce i dlatego, że bardzo nam się chciało pić. W nocy pogryzły nas jakieś robaki, co okropnie wpłynęło na mój nastrój. Moja twarz pokryła się swędzącymi bąblami, włosy sterczały mi we wszystkie strony, nie miałam szczoteczki do zębów i czułam się jak fleja, bo od ostatniej kąpieli minęły całe wieki. Całe szczęście, że byłam zbyt chuda, żeby mieć okres, bo chyba by mnie to dobiło.

Spakowałyśmy rzeczy, które tym razem podzieliłam na dwa tobołki. Ja wzięłam duży, a Piper mniejszy. Zarzuciłyśmy je sobie na plecy i nie było tak źle, jak może wam się wydawać, zwłaszcza że nigdzie się nie śpieszyłyśmy.

Szłyśmy, szłyśmy i szłyśmy. Ścieżka odbijała na północ, co było wielką pociechą. Gdy znowu zaczęło padać, zatrzymałyśmy się na odpoczynek. Schowałyśmy się razem z rzeczami pod folią i zebrałyśmy trochę deszczówki do miski.

Spędziłyśmy z Piper razem już tak dużo czasu, że rozmawiałyśmy ze sobą tylko tyle, ile konieczne. Poza tym byłyśmy zmęczone, głodne, zagubione i obolałe i chyba niespecjalnie było o czym dyskutować. Cieszyłam się, że nie jest jednym z tych dzieciaków, które co chwila pytają: „Daleko jeszcze?”, bobym nie wytrzymała.

No więc odpoczęłyśmy. Potem znowu uszłyśmy kawałek. Minęłyśmy kolejny spalony dom. Dziecięcy bucik porzucony na drodze. Maszerowałyśmy. Odpoczywałyśmy. Szłyśmy dalej. Nie widziałyśmy żadnych ludzi, tylko ślady, które po sobie pozostawili. Porozrzucane ubrania. Papiery. Zdechły kot. Przegryzłyśmy coś i wypiliśmy trochę wody. Czasami, ale nie za często, zastanawiałyśmy się, co nas czeka u kresu drogi.

Było późne popołudnie i mogłyśmy jeszcze iść przez dobrą godzinę lub dwie, ale dostrzegłyśmy rozpadającą się szopę, której, o dziwo, nie spalono, więc przeszłyśmy przez mur, przedarłyśmy się przez splątane ciernie i krzaki i weszłyśmy do środka. Okazało się, że jest tam sucho i wystarczająco przestronnie, żeby się położyć. Poczuliśmy co najmniej taką ulgę, jakbyśmy zatrzymały się w pięciogwiazdkowym hotelu. Zanim znowu się rozpadło, zdążyłyśmy zebrać naręcza długiej trawy i zrobić z nich całkiem wygodne posłanie. Wyjęłam koce i rozesałam je na ziemi. Zrobiło się cudownie przytulnie i muszę przyznać, że jeśli nie liczyć pajaków, warunki miałyśmy całkiem cywilizowane.

Piper poszła pozbierać kwiatki, żeby upiększyć nasz nowy dom, jakbyśmy miały tu spędzić całe lata.

– Patrz! – zawołała nagle.

Spojrzałam, ale poza rozłożystym drzewem, pod którym leżały suche żołędzie, nic ciekawego nie zauważyłam.

– Orzechy laskowe! – zapiszczała.

To wielkie szczęście mieć kogoś za towarzysza podróży, szczególnie kogoś takiego jak Piper, bo sama nie rozpoznałabym orzecha laskowego, gdyby nawet postukał mnie w ramię i spytał: „Przepraszam, którą do Carnegie Hall?”. A tak zebrałyśmy ich tyle, ile zmieściło się w koszulę, a potem rozłupywałyśmy o kamień i jadłyśmy, aż nas zemdliło. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie uchodzą za największy rarytas na świecie.

Gdy schrupałyśmy ich jakiś tyśiąc, to zebrałyśmy jeszcze trochę i spakowałyśmy razem z pozostałym prowiantem, czyli kilkoma oliwkami, pajdą chleba i jeżynami na deser.

Nie mając nic innego do roboty poza stwierdzeniem, jak bardzo chciało nam się jeść i pić i jak bardzo bołą nas pęcherze, poszłyśmy spać. Obudził nas grzmot piorunów. Zdawały się walić tuż nad głowami, ale nasz wspaniały mały domek okazał się na tyle wodoszczelny, że jeśli tylko trzymało się z daleka od lewego rogu i zakryło dziurę w dachu folią, można było spać dalej i pozostać suchym. Deszcz przegonił także owady, co było bardzo pozytywne.

W trakcie burzy przypominałam sobie o naszej misce i sięgnęłam po nią. Wyjęłam paprochy, które unosiły się na powierzchni, i wypilałam całą zebraną wodę. Potem znowu wystawiłam naczynko na zewnątrz. Napelniło się w niecałe dziesięć minut. Obudziłam Piper i powiedziałam, żeby piła, dopóki jest co. Po wypiciu dwóch miseczek na głowę poczuliśmy się o niebo lepiej, jeśli nie liczyć bolesnych skurczów żołądka, wywołanych albo zimną wodą, albo orzechami. Napeniłam jeszcze butelkę i położyłam się spać.

Gdy znowu się obudziłyśmy, wciąż padało i nie było sensu ruszać się z naszego przytulnego domku, dopóki nie będzie takiej konieczności. Przemoczenie koców i tych kilku sztuk ubrań, które miałyśmy, wydawało się wyjątkowo odpychające.

Piper miała rozmarzony wyraz twarzy i wydawała się szczęśliwa, leżąc opatulona kocami i nucąc coś pod nosem. Stwierdziłam, że desperacko potrzebuję się umyć. Zużyłam miskę deszczówki, urządzając sobie coś na kształt kąpieli, która jednak nie przyniosła zadowalających efektów, zwłaszcza bez mydła. Wróciłam do środka, ubrałam się i przytuliłam do Piper, żeby się ogrzać.

Przez chwilę grałyśmy w Łamańca Umysłowego, bardzo skomplikowaną grę polegającą podawaniu różnych słów i ustalaniu właściwych liter, aby na końcu ułożyć z nich pięcioliterowe słowo, które pomyślała druga osoba.

Piper właśnie rzuciła „łyżwa” i była to poprawna odpowiedź, więc teraz była moja kolej, ale po jakiejś minucie czy dwóch, gdy próbowałam z „bekon”, „kabel”, „masło”, zapadła głucha cisza.

– Piper? – spytałam.

Twardo spała.

Leżałam jeszcze przez jakiś czas, słuchając głosu Edmonda w mojej głowie. Brzmiał spokojnie, znajomo i jakoś tęsknie, więc zaczęłam się odprężyć i zapomniałam o wszystkim innym. Tak minął kolejny dzień.

Teraz powiem wam coś naprawdę niesamowitego: okazało się, że mój nauczyciel matematyki z ósmej klasy miał rację w *jednej* sprawie, mianowicie takiej, że pewnego dnia przyda mi się umiejętność rozwiązywania równań. Na przykład takiego: $x = \text{Piper i Daisy}$, $y = \text{sześć kilometrów na godzinę}$, $z = \text{sześciokilowy bagaż}$, $n = \text{kierunek NNE}$, a $4d = \text{cztery dni}$.

No to teraz obliczcie, jak blisko Kingly się znajdujemy: $x(y+z)+n \times 4d$?

Nie muszę chyba wspominać, że nie byłam prymuską.

Nasza ścieżka przecięła cztery jednopasmowe szosy, ale oprócz krowy, która pasła się przy jednej z nich, nie widziałyśmy żadnej żywej istoty większej niż jeź. Od czasu do czasu trafiała się stodoła, a raz rząd małych domków – wyglądały na opuszczone, ale nie sprawdzałyśmy, bo nie chciałyśmy ryzykować.

Wydawało się, że ścieżka nieustannie zmienia kierunki, ale z grubsza zmierzałyśmy we właściwym. Z jakiegoś powodu nie mogłam przestać myśleć o programie telewizyjnym poświęconym nawigacji na statkach wielorybników i o tym, jak najdrobniejszy błąd może skutkować tym, że ominie się docelową wyspę o pięćset mil.

Na jednym ze skrzyżowań stał znak drogowy informujący, że do Strup jest jedna czwarta mili, a do East Strup pół mili. Tak mi ręce drżały z podekscytowania, że dowiedziałyśmy się, gdzie się znajdujemy, że ledwo udało mi się rozłożyć mapę. Gdy jednak odnalazłam na niej miejsce, w którym według moich wyliczeń się znajdowałyśmy, nie było tam żadnego Strup.

– Może to tylko kilka domów i nie zaznaczono ich na mapie – powiedziała Piper.

Z jakiegoś głupiego powodu zaczęłam płakać. Poczulałam się kompletnie bezwartościowa i bezużyteczna. Nagle wydało mi się to absurdalne, że uwierzyłam, iż uda mi się przeprowadzić Piper przez pół Anglii i trafić do miejsca, które na mapie jest zaledwie paprochem, ja, która nie potrafię nawet znaleźć pary czystych majtek w szufladzie. Ponieważ jednak nikt się nie wrywał, żeby zastąpić mnie w tej roli, a Piper po prostu stała przy mnie i trzymała mnie za rękę, czekając, aż przestanę płakać, jakoś się pozbierałam i ruszyłyśmy w dalszą drogę.

Po leszczynie znalazłyśmy jabłonkę i jeszcze więcej jeżyn, ale szanse, że potkniemy się o wypasioną kanapkę z wołowiną, były marne, a przez nasze zapasy jedzenia, które od początku nie były imponujące, teraz prześwitywało dno. Dobrze, że od czasu do czasu padało, bo inaczej umarłybyśmy z pragnienia. Miało to jednak też swoje minusy, bo przez deszcz droga robiła się śliska, a mokre trampki ocierające się o pęcherze na stopach to nie jest szczyt rozkoszy. No więc, jeśli chodzi o sprzyjające nam szczęście, to by było na tyle.

Około jedenastej zatrzymałyśmy się na lunch, ale ziemia była tak mokra, że nie mogłyśmy nawet rozłożyć koca. Usiadłyśmy więc na kamieniach, choć dałybyśmy wszystko za kawałek ciepłej, suchej podłogi.

Kiedy odpakowywałam nasz prowiant, czyli ostatni kawałek sera, kilka oliwek i resztkę orzechów, nagle Piper odezwała się:

– Daisy, słyszysz ten hałas?

Nasłuchiwałam jeszcze przez dłuższą chwilę i nic. Ale po jej minie – takiej samej jak u Isaaca i Edmonda – wiedziałam, że na sto procent coś słyszała. Modliłam się, żeby nie było to nic strasznego, gdy na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

– Rzeka! To na pewno rzeka! – wykrzyknęła.

Zostawiłyśmy rzeczy i popędziłyśmy dróżką. Po jakichś stu metrach dobiegłyśmy do rzeki. Spojrzałam na mapę i było jasne, że to *nasza* rzeka, i jeśli uda nam się iść wzdłuż, nie odbijając zbytnio na boki, dotrzemy dokładnie tam, gdzie chcemy.

Odtańczyłyśmy taniec radości, piszczałyśmy, śmiałyśmy się i ścisnęłyśmy, a potem pobiegłyśmy po nasze rzeczy, spakowałyśmy wszystko i ruszyłyśmy naprzód lekkim krokiem. O zachodzie słońca rozbiłyśmy obóz nad rzeką.

Nie było jakoś specjalnie ciepło, ale rozebrałyśmy się i zamoczyłyśmy w wodzie, żeby trochę się obmyć. Po raz pierwszy zauważyłam, jak Piper wychudła. Kiedyś pomyślałabym, że to wspaniale, ale teraz widziałam tylko niedożywioną dziewięciolatkę.

Szorowałyśmy się w lodowatej wodzie, aż zrobiłyśmy się białe jak duchy, jeśli nie liczyć opalenizny na twarzy, szyi i rękach. Na bladej skórze widać było wszystkie szramy, które jasnoczerwonymi hieroglifami opowiadały historię naszej podróży. Obie miałyśmy całe stopy w pęcherzach, nowych i do połowy zaleczonych, ręce i nogi podrapane od przedzierania się przez krzaki, ślady po ugryzieniach owadów, które drapałyśmy aż do krwi, i wysypkę od pokrzywy. Na jednym kolanie zrobił mi się duży strup, z którego sączyła się ropa i przez który kuśtykałam, bo bardzo bolał. Oprócz tego od stóp do głów pokryte byłyśmy siniakami od spania na kamieniach.

Wyszłyśmy z wody, trzęsąc się jak osika, ale za to dużo czystsze. Próbowaliśmy na sobie nie patrzeć, bo widok był zbyt przygnębiający. Ponieważ miałyśmy obsesję na punkcie niemoczenia koców, postaliśmy przez chwilę na zimnym wieczornym wietrze, żeby wyschnąć.

To tyle, jeśli chodzi o zdrowe wiejskie życie.

Nazajutrz znowu wyruszyłyśmy. Ścieżka biegła wzdłuż rzeki i po połowie dnia marszu jej koryto się rozwidliło. Zerknęłyśmy na mapę i po raz pierwszy od opuszczenia Reston Bridge dokładnie wiedziałyśmy, gdzie jesteśmy.

Wtedy rozbeczałam się po raz drugi, a Piper zaczęła się śmiać i mówić, że bym oszczędzała wodę. Ale nie mogłam się powstrzymać, bo płakałam w takim samym stopniu z radości, co z niedowierzania. I choć teraz, gdy znałyśmy nasze położenie, okazało się, że uszłyśmy mniej, niż się spodziewałam, to przynajmniej miałyśmy pewność, że idziemy w dobrym kierunku.

Według mapy miałyśmy do przejścia jeszcze trzydzieści dwa kilometry, czyli jeden dzień drogi. Wiem, bo byłam kiedyś na Dzielnicowym Marszu Przeciw Ubóstwu czy jakoś tak i w jeden dzień przeszłam trzydzieści pięć kilometrów, a wcale nie odżywiałam się lepiej niż teraz.

Tej nocy wślizgnęłam się do zakamarka swojego umysłu, gdzie rozmawiałam z Edmondem. W końcu mogłam mu przekazać jakieś dobre wieści.

Marsz wzdłuż rzeki od razu poprawił jakość naszego życia. Z grubsza wiedziałyśmy, dokąd trzeba się kierować, i nie musiałyśmy marnować czasu na zonglowanie kompasem i mapą ani na zamartwianie się, czy czasem nie obróciłyśmy się w złą stronę i przez pomyłkę nie dojdziemy do jakiejś Szkocji czy Hiszpanii.

To, że wiedziałyśmy, ile jeszcze mamy do przejścia, pomogło nam rozplanować posiłki i choć nasze zapasy były tak samo skąpe jak wcześniej, to przynajmniej przestałyśmy się stresować, że pół słoika dżemu i kilka centymetrów kielbasy musi nam wystarczyć na kolejny miesiąc.

Piper ciągle znajdowała pieczarki łąkowe, twierdząc, że na pewno są jadalne, i dotąd wydawało mi się to kiepskim pomysłem, bo bałam się zatrucia, ale Piper sprawiała wrażenie tak pewnej i grzybów było tak dużo, że pomyślałam, że jeśli nie zjemy dla odmiany czegoś innego, to umrzemy z rozpacz i nie doczekamy śmierci głodowej. Tak więc postanowiłyśmy ugotować nasze pierwsze danie z pieczarek i salami i oto, jak tego dokonaliśmy.

Najpierw rozłożyłyśmy nasz prowizoryczny namiot i zaczęłyśmy do zachodu słońca, żeby nikt nie zobaczył dymu. Potem zebrałyśmy trochę suchych chwastów i usypałyśmy z nich kopczyk, a obok niego stosik patyków z dwoma kawałkami suchej gałęzi. Potem przyniosłyśmy z brzegu rzeki kilka kamieni i ułożyłyśmy z nich okrąg. Zostawiłyśmy kilka, żeby postawić na nich miskę. Potem podpaliłyśmy wiązkę chwastów zapalką i zaczęłyśmy, aż się zajmie. Powoli dodałyśmy dwie gałązki i choć trzeba było aż dwóch podejść i czterech zapalek, bo patyki były trochę wilgotne, to w niecałe dwadzieścia minut zrobiliśmy całkiem porządne ognisko.

To zapewne powszechnie znane zjawisko, że gdy człowiek w stanie skrajnego wyczerpania wpatruje się w ogień, natychmiast zostaje zahipnotyzowany. Dopiero najwyższym wysiłkiem woli udało mi się oderwać wzrok od płomieni i gdybym tego nie zrobiła, być może siedziałybyśmy tak z Piper do dziś, gapiąc się w ogień i rozkoszując jego ciepłem na twarzach i rękach, dumne, że udało nam się zrobić coś tak dzikiego i potrzebnego jak ognisko, nawet jeśli posłużyłyśmy się w tym celu zapalkami, co oczywiście było dużo prostsze niż pocieranie patyków.

Zostawiłam Piper wpatrzoną w płomienie. Odciąłam kawałek salami, pokroiłam go na siedem mniejszych części i włożyłam je do metalowej miski. Tłuszcz z salami od razu zaczął się topić. Wzięłam sześć dużych posiekanych pieczarek i kilka małych niebieskich gąsek, jak nazywała je Piper, i powoli dodałam je do miski z tłuszczem i kawałkami mięsa.

Z płata kory zrobiłam pokrywkę, ale zaczęła się dymić na brzegach, przez co trudno było ją podnosić. Poparzyłam osiem palców, zdejmując miseczkę z ognia, żeby uchronić grzyby przed przypaleniem. Musiałam tak robić przez prawie godzinę, ale w końcu zrobiły się małe i brązowe. Zaczekałyśmy, aż ostygną, i nie macie pojęcia, jak cudownie może smakować coś, co rośnie ot tak, na polu, zwłaszcza ze słonymi, chrupiącymi, zrumienionymi kawałeczkami salami.

Jedząc, pomyślałam: „Przez cały ten czas umierałam z głodu” i bezwiednie wypowiedziałam to na głos.

– I ja – zawtórowała mi Piper, nie podnosząc wzroku.

„Nie, nie w ten sam sposób i mam nadzieję, że nigdy tego nie doświadczysz” – westchnęłam w duchu.

Skończyłyśmy jeść i umyłyśmy miskę w rzece. Potem, na deser, zmieszałyśmy kilka garści jeżyn z odrobiną dżemu truskawkowego. Jeszcze raz opłukaliśmy naczynko

i przegotowałyśmy na ogniu wodę, którą sączyłyśmy, udając, że jest herbatą. Przez około godzinę czułyśmy się nasycone dobrymi, ciepłymi rzeczami i szczęśliwe.

Potem zgasiłyśmy ogień i poszłyśmy spać.

Przebudziłam się jakieś dwie czy trzy godziny potem i zobaczyłam, że Piper siedzi obok, z szeroko otwartymi oczami i przerażeniem wymalowanym na twarzy. Również usiadłam, ale nie widziałam ani nie słyszałam nic niepokojącego.

– Co takiego? Co się dzieje? – spytałam.

Piper zaczęła wrzeszczeć i prawie musiałam jej zatkać usta, żeby ją uciszyć.

Miotła się jak epileptyk i próbowała podrapać mi twarz paznokciami. Pomyślałam, że może tak objawia się zatrucie grzybami.

– Nie! – zawołała i myślałam, że mówi do mnie, ale jej oczy były skupione jakby do wewnątrz.

Gdy próbowałam zakryć jej usta ręką, krzyczała:

– Zostaw! Zostaw!

Byłam na niej tak skupiona, że hałas, który w końcu usłyszałam, kompletnie mnie zaskoczył. Zaczął się cicho, niczym odległy warkot. Przez chwilę rozglądałam się jak szalona, sądząc, że to gdzieś w pobliżu, ale nie, wokół nas było cicho i pusto, tylko przyroda i noc.

Stopniowo udało mi się wyłowić skowyt jakby przyspieszonej płyty. Głosy stały się dziwnie piskliwe, przypominając te, jakimi w kreskówkach mówią kosmici. Potem zaczęłam wyłapywać pojedyncze jęki. Płacz i krzyki. Głosy zrobiły się tak donośne i tak rozpaczliwe, że z przerażenia mogłam tylko schować głowę w ramionach i błagać, żeby ucichły.

Piper już nie krzyczała, tylko leżała na ziemi zwinięta w kłębek, z zaciśniętymi oczami, z dłońmi przy uszach. Wyglądała na tak przerażoną, że zmusiłam się, żeby do niej podejść i jej pomóc, ale gdy się zbliżyłam, kopnęła mnie i uderzyła, więc się wycofałam. Kołysała się w przód i w tył jak jakieś półobłąkane dziecko z sierocińca, próbujące samo się utulić.

Wrzaski przybrały na sile. Musiałam od nich jakoś uciec, ale nic nie skutkowało. Mogłam tylko wydawać z siebie gardłowe buczenie, żeby je zagłuszyć. Po chwili zaczęły cichnąć, stawały się coraz słabsze. W końcu ustał też warkot. Znowu zapadła cisza. Zwymiotowałam.

Piper otworzyła oczy, przykucnęła i spojrzała na mnie dzikim i spanikowanym wzrokiem, jak zwierzątko w potrzasku.

– Musimy im pomóc! – powiedziała.

Zezłościło mnie to.

– Komu? – spytałam, sądząc, że to raczej my potrzebujemy pomocy, skoro właśnie umieramy w lesie na zatrucie pokarmowe.

Piper nie odpowiedziała, tylko bez przerwy powtarzała jak zapętłona taśma:

– Musimy im pomóc. Musimy im pomóc.

Nie widać było księżycy i nie dało się iść. Noc była tak ciemna, że nie widziałybyśmy nawet ścieżki i choć Piper naciskała, żeby ruszyć, to zdawała sobie sprawę, że dopóki nie zrobi się trochę jaśniej, będzie to niemożliwe.

Próbowałyśmy z powrotem zasnąć, ale nam się nie udawało. Drżąc z zimna, czekałyśmy na świt. Potem szłyśmy i szłyśmy, nie zatrzymując się aż do zmroku. W końcu padłyśmy, nie mając nawet siły rozbijać namiotu. Rozłożyłyśmy tylko koce na ziemi. Uwierały mnie kamienie i wciąż czułam, jak chodzą po mnie robaki. Piper na wpół drzemała i co chwila budziła się z podskokiem. W końcu, gdy zaczęło świtać, zasnęłyśmy obie. Jak wampiry.

Obudziłyśmy się po kilku godzinach, spocone i niespokojne. Znowu maszerowałyśmy w głuchej rozpaczliwej ciszy, tak szybko, jak tylko dałyśmy radę, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo byłyśmy wyczerpane i głodne.

Żadna z nas nie wspominała tamtej nocy.

Upłynęły dwa dni, od kiedy minęłyśmy zakręt na rzece. Obliczyłam, że o ile się nie zgubiłyśmy, do Kingly został nam jeszcze jeden dzień drogi.

Wolałam nie myśleć o tym, co tam zastaniemy.

Nie było sensu wybiegać myślami. Bo jeszcze byśmy zawróciły.

Ścieżka w końcu przeszła w krętą brukowaną drogę, na tyle wąską, że zmieściłby się na niej tylko jeden samochód. Po obu jej stronach pięły się wysokie skarpy porośnięte na górze żywopłotem. Czuliśmy się jak w trzymetrowym okopie z niską szarą klapką w postaci nieba.

Ptaki to wylatywały z żywopłotów, to się w nich chowały, trajkotały i skrzeczały, pewnie zastanawiając się, co tu robimy, bo przez ostatnie miesiące ten dziki świat należał tylko do nich.

Nie czuliśmy się bezpiecznie na tej drodze. Ktoś mógł podjechać od tyłu, a żeby uciec, musiałybyśmy się wspinać na trzymetrowe zbocze. Ale gdzieś pod tymi nerwami tętniła skryta radość, że być może jesteśmy już *blisko*.

Z mapy mogłam wywnioskować, że od Kingly dzieli nas niewiele ponad kilometr, ale bez pomocy miłego policjanta albo przyjaznej dojarki, którzy pokierowaliby nas do Gateshead Farm, nie miałyśmy szans tam trafić.

Pokonałyśmy jedną trzecią kilometra, mijając rząd pustych, zabitych deskami domów, i dotarliśmy do drogowskazu, który wskazywał Kingly, Hopton i Ustlewithe, więc po prostu szliśmy dalej, licząc, że jakoś nam się uda trafić. Przy kolejnym zakręcie zobaczyłyśmy starą drewnianą tabliczkę informującą, że znajdujemy się na Gateshead Lane, i niemal puściłyśmy się pędem naprzód.

Żadna z nas nie miała ochoty zastanawiać się, co zastaniemy na farmie, ale choć próbowałam się opanować, nie mogłam powstrzymać ekscytacji, od której serce waliło mi w piersi jak oszalałe, a Piper zapłonęły nienaturalne rumieńce.

Po przejściu około ośmiuset metrów dopadły nas wątpliwości, że jednak nie jest to właściwa droga, ale szliśmy dalej, bo nie miałyśmy lepszego pomysłu. W końcu pojawiły się znak i brama, i kilka porzuconych maszyn rolniczych. Gdy przechodziłyśmy przez bramę, dotychczasową euforię zastąpiło coś ciemnego i niepokojącego. Aura tego miejsca mnie odstręczała.

Z drogi nie widać było zabudowań gospodarskich, ale po lewej stronie zobaczyłyśmy stado krążących ptaków, więc ostrożnie ruszyłyśmy w tamtym kierunku. W końcu za zakrętem dostrzegłyśmy stodołę, jednak nadal nie było żadnych oznak życia. Jedyne, co chciałam teraz zrobić, to pędem uciec jak najdalej stąd, bo nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, że wszystkie te ptaki nie zleciały się tam bez powodu.

Wyobrażałam sobie, co zrobimy, jeśli okaże się, że gospodarstwo zajął Nieprzyjaciel, a Isaac, Edmond i reszta zostali wzięci do niewoli. Wierzyłam jednak, że żyją, bo nikt przy zdrowych zmysłach, kto maszerował przez tydzień, ślaniając się z głodu, nie będzie zakładał najgorszego scenariusza.

Ale nie zawsze można wybrać scenariusz.

Spróbujcie przez chwilę postawić się w naszej sytuacji – pewnego złowrogiego szarego wrześniego dnia przychodzicie do opuszczonego miejsca, które miało tętnić życiem, roić się od zwierząt i ludzi, ale nic z tego nie zastajecie, ani śladu człowieka, tylko upiorną ciszę, bezruch, przerywany jedynie przez czarne ptaszyska wiszące w powietrzu i zastępy wron stojące nieruchomo i paralizujące was wzrokiem.

I wtedy zauważyłyśmy lisy.

Pierwsze, co pomyślałam, to, że są piękne, odkarmione, jasnorude, z wyrazistymi inteligentnymi mordkami i ze lśniąącym futrem. Dopiero po chwili zaczęłam się zastanawiać, dlaczego jest ich tu tak dużo i nie uciekają.

Bo po co miałyby uciekać. Miały tu jak w raju. Wszędzie było pełno ścierwa. Gdy smród

uderzył nas w nozdrza, był nieporównywalny z niczym, co znałyśmy. Jak ludzie mówią, że gdzieś czuć śmiercią, to mają rację, bo to jedyny sposób, żeby opisać, jaka to woń – trupia, zgniła i tak ohydna, że żołądek wywraca się na drugą stronę, i jeśli wasz umysł zachowa reszkę przytomności, to będzie chciał wyskoczyć z czaszki i uciec jak najdalej, z resztą waszego ciała czy bez niego, żeby tylko nie musieć się dowiedzieć, co tak cuchnie.

Przeszłyśmy jednak taki szmat drogi, że nie wyobrażałam sobie, żeby zawrócić. Moje nogi ruszały się same. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że są tam też ludzkie zwłoki, i przebiegł mnie zimny dreszcz. Niezależnie od wszystkiego nie zamierzałam krzyczeć ani płakać.

Byłam jak bryła lodu.

Tuż przede mną ptaki dziobały twarz jakiegoś człowieka, wrywały mu kawałki skóry i oddziały czerwone mięso od kości. Zamachałam ręką, żeby zobaczyć, co zostało z tych zwłok, i ptaszyska na chwilę wzbiły się w powietrze. Po wielkości trupa i jego ubraniu zorientowałam się, że nie może to być Edmond, a skoro nie mógł to być Edmond, to nie mógł to być też Isaac ani Osbert.

Ofiar było więcej.

Siedemnaście w zasięgu wzroku i tylko jedna, która wydawała mi się znajoma. Byłam prawie pewna, że to doktor Jameson. Szok na widok kogoś, kogo znałam, a kto jest martwy, wywołał kolejny atak paniki. Nogi zaczęły mi tak dygotać, że musiałam usiąść na piachu, żeby się nie przewrócić.

Od jednego do drugiego.

Przechodziłam od jednego ciała do drugiego. Planowo i metodycznie. Patrzyłam, jak każdy z nich zginął i w jakim jest wieku. Jeden po drugim trupy okazywały się nie tą osobą, której szukałam.

Zwłoki były rozesłane po całej farmie. Wszyscy wyglądali, jakby umarli, uciekając albo kucając, żeby się ukryć albo kogoś ochronić, i jeśli mieli jeszcze twarze, to malowały się na nich strach i trwoga, a przynajmniej w ułożeniu szczęk, bo oczy i usta tracili w pierwszej kolejności. Zaczęłam odganiać lisy, rzucałam się na nie rozwścieczona, ale prawie nie zwracały na mnie uwagi. Musiałam je kopać, żeby cofnęły się o kilka kroków, nie wypuszczając z pysków kawałków ciała, które akurat pożerały. Patrzyły na mnie obojętnie. Jestem pewna, że wyczuwały mój strach.

W sumie znalazłam dziewięciu mężczyzn, trzy kobiety i pięcioro dzieci. Jednym z nich była dziewczynka, młodsza od Alby'ego. Matka wciąż trzymała ją w ramionach. Kobieta była młoda, ale tak jak pozostałe miała brudne i splamione krwią ubranie, więc to, co tu się wydarzyło, to morderstwo z zimną krwią, a nie jakieś inne dyrdymały, które mogłyby wam się kojarzyć z wojną.

Nie potrafiłam stwierdzić, od jak dawna nie żyją. Ale chyba wystarczająco długo, bo ich wnętrzności zaczęły gnić, a wrony i listy zdążyły zwołać swoich krewnych i znajomych na ucztę.

W tyle, na zadaszonym padoku, były zwierzęta, głównie krowy i cielęta, prawie setka, stłoczone razem, bez jedzenia, w większości martwe. Kilka jeszcze stało, a niektóre leżały, charcząc i dysząc. Gdy zrobiłam jeszcze parę kroków do przodu, ptaki wleciały na kilka metrów w powietrze, ale od razu wróciły na swoje miejsca i dalej dziobały, walcząc o najlepsze kąski. Z bliska zobaczyłam, że ze zdechłych zwierząt wychodzą szczury, a lisy wywlekają i szarpiać cuchnące wnętrzności. Poczułam, że jeśli natychmiast nie odejdę stąd jak najdalej, zacznę krzyczeć i już nigdy nie przestanę.

Rzuciłam się biegiem, dysząc z przerażenia. Rozglądałam się za Piper, ale nigdzie jej nie było.

– Piper! Piper! Piper! – wrzeszczałam, z trudem łapiąc oddech i nie zostawiając jej czasu na odpowiedź.

Nie było po niej śladu. Czułam, że ogarnia mnie histeria, że pograżam się w niej jak we wzburzonej toni. Pobiegłam do jedyne go miejsca, jakie zostało, czyli do stodoły. Zobaczyłam ją tam klęczącą, ze łzami ciekącymi po twarzy, obejmującą jakieś zwierzątko. Dopiero po cichym dźwięku dzwonka zdałam sobie sprawę, co to za zwierzę. Tylko że nigdy bym go nie rozpoznała, bo był cały umorusany odchodami i tak chudy, jak tylko można być chudym, pozostając przy życiu. Pewnie zostawiono go tutaj bez jedzenia. Oczy miał otępiełe, ale rozpoznał Piper i mnie. Zadzwoił dzwoneczkiem i otarł się o Piper swoimi dziecinnymi różkami najpiękniej, jak potrafił, zważywszy na to, że w zasadzie był martwy.

Ding.

Był zbyt słaby, żeby wstać, i zbyt chory, żeby interesować się wodą, którą przyniosła mu Piper.

Przykryłam go workiem po paszy i strzeliłam mu w głowę.

A potem zabrałam Piper z powrotem do domu.

Nie zatrzymywałyśmy się, tylko szłyśmy drogą najszybciej, jak potrafiłyśmy, chowając się w krzaki, ilekroć przejeżdżały ciężarówki, i czekając tam, aż znowu będzie bezpiecznie.

Choć tak naprawdę nigdy nie było bezpiecznie. Widziałyśmy mężczyzn z latarkami i słyszałyśmy krzyki, a ciężarówki przejeżdżały dość często.

Powoli posuwałyśmy się naprzód.

Nie rozmawiałyśmy tamtej nocy. Trzymałam Piper za rękę, a krew tętniąca w moich żyłach, którą mogła wyczuć pod skórą, dodawała jej otuchy. Z początku jej ręka była wilgotna i zimna, jak coś martwego, ale przywróciłam ją do życia, aż po kilku godzinach marszu jej palce zacisnęły się na mojej dłoni, najpierw niepewnie, potem mocniej, aż w końcu zyskałam pewność, że jest w nich życie.

O zachodzie słońca niebo się roz pogodziło i zrobiło pomarańczowe, szare i różowe, a temperatura zaczęła spadać, ale na pocieszenie księżyc był jasny, więc narzuciłyśmy na siebie koce i szłyśmy dalej, kierując się mapą. Był prawie ranek, gdy dotarłyśmy do wioski, całkowicie opustoszałej, minęłyśmy pub i miejscowy sklep i ruszyłyśmy przez znajome wzgórze w kierunku domu. Spodziewałam się, że zastaniemy zdewastowany i martwy krajobraz, ale wcale taki nie był: żywopłoty ugięły się pod ciężarem życia, jeżyn, kwiatów i ptasich gniazd. Ale ten optymizm przyrody nie podniósł mnie na duchu. Był jak odsłona minionego życia, życia na tyle niedawnego i zarazem odległego, że przypominałam sobie swój stan euforii, ale go nie czułam.

W mojej nowej inkarnacji nie spodziewałam się niczego, ani rzeczy dobrych, ani złych.

Dom wyglądał na pusty. Było ciemno i głucho. Nawet żółtawy kamień tchnął osamotnieniem. Stary jeep stał tam, gdzie go zostawiliśmy, gdy skończyła się benzyna. Nie było śladu życia.

Ale śladów śmierci też nie.

Chciałabym móc powiedzieć, że serce zatrzepotało mi z radości na ten widok, ale tak nie było. Serce, które miałam, nie było już z mięśni i krwi. Raczej z ołowiu. Albo z kamienia.

Powiedziałam Piper, żeby zaczekała na zewnątrz. Przykucnęła, chowając głowę w ramionach, a ja weszłam do środka. Nie miałam ani siły, ani odwagi, żeby przeszukiwać pokój po pokoju, więc ruszyłam prosto do spiżarni. W głębi niskiej szafki znalazłam puszkę pomidorów, ciecioriki i zupy oraz słoik z napisem „Chutney”, wyglądający jak ostatnia rzecz, której można by się spodziewać w spiżarni w czasach wojny i głodu, ale mimo wszystko jak coś jadalnego. Zrobiłam dziurę w puszcze z pomidorami i podałam Piper. Napiała się i oddała mi resztę.

Potem, gdy słońce zaczęło wschodzić, obolałe i wyczerpane powlekliśmy się do owczarni.

Pewnie były tysiące, setki tysięcy, miliony miejsc w Anglii nietkniętych wojną: dna jezior, korony drzew, odległe zakątki zapomnianych łąk, ustronne miejsca, których nikt nie odwiedzał w czasach pokoju, bo nie miały znaczenia albo nie leżały po drodze do jakiegoś innego ważnego miejsca.

Jednym z nich była właśnie ta zagroda. Choć zbliżał się październik, na drzewach wciąż było sporo liści, które czyniły ją niewidoczną z drogi. Krew zamarzła mi w żyłach, gdy przedzieraliśmy się przez zarośniętą ścieżkę, i odtajała dopiero wtedy, gdy zobaczyliśmy, że nadal tam jest.

Stała na swoim miejscu pomimo śmierci, chorób, nieszczęścia i rozpaczki wszędzie wokół. W środku wyglądała na nienaruszoną. Nikogo w niej nie było od tej nocy tysiąc lat temu, gdy spaliśmy tu wszyscy razem, szczęśliwi. Dobrze, że byliśmy wtedy zbyt leniwi, aby taszczyć wszystko z powrotem do domu, więc na sianie wciąż leżały koce, a nawet kilka sztuk ubrań przyniesionych przez chłopców na zmianę – podkoszulki, dżinsy i skarpetki – relikw z czasów, gdy codziennie się przebieraliśmy.

Choć byłam wykończona, powiedziałam Piper, że muszę pozbyć się ze skóry resztek wczorajszej woni, więc w bladym porannym słońcu wyszorowałam się lodowatą wodą z metalowej rynny, a potem założyłam koszulkę i spodnie Edmonda i choć nie pozostał na nich jego zapach, od razu zrobiło mi się lepiej. Miałam dość brudnego swetra, który nosiłam codziennie, i choć nowe ubrania były trochę zawilgocone, gdy wpełzłam pod wełniany koc i położyłam głowę obok Piper, poczułam się prawie czysta i, co najważniejsze, byłam w domu.

Tamtej nocy spałam jak kamień, nie śniąc o niczym.

Mogłyśmy się przenieść do domu, ale tego nie zrobiłyśmy.

Może stał za blisko drogi, a może na tyle zdziczałyśmy, że nie potrafiłybyśmy już mieszkać w normalnym otoczeniu. Tak czy inaczej, zostałyśmy w zagrodzie, przez kolejne trzy dni nie robiąc nic poza spaniem. Wstawałyśmy tylko po to, żeby dokończyć resztki prowiantu, napić się wody i zrobić siku w krzakach.

A kiedy już się wyspałyśmy i trzeba było przygotować ognisko i zdobyć coś do jedzenia, przypomniałam sobie nagle o koszyku, który Isaac przyniósł do stodoły pięć miesięcy temu (a może pięć lat temu?), a który ukryliśmy przed Piper.

Nawet w najgorszych czasach nie przychodziło mi do głowy, żeby się modlić, ale zrobiłam to teraz.

Modliłam się, żeby nie okazało się, że myszy dobrały się do koszyka. Modliłam się, żeby nie okazało się, że jedzenie zgniło od letniego upału. Modliłam się do wszystkich bogów, w których nigdy nie wierzyłam, żeby starczyło go dla Piper i żeby została odrobina dla mnie.

A to chyba oznacza, że powinnam uwierzyć w Boga.

Ser był twardy i z wierzchu pokryty pleśnią, ale poza tym dobry i było go mnóstwo. Keks w puszcze też zachował się doskonale, a sok jabłkowy wprawdzie trochę sfermentował, ale wciąż nadawał się do picia. Suszonym morelom nic się nie stało, podobnie jak wielkiemu blokowi czekolady zawiniętej w brązowy papier. Jedyne, co musiałam wyrzucić, to zgniła szynka, która śmierdziała prawie tak paskudnie jak tamta farma, i znowu dostałam mdłości.

Przejrzyste październikowe noce przechodziły w przejrzyste październikowe dni i choć w zagrodzie było zimno, to kilka godzin po wschodzie słońca na dworze się ocieplało. Piper mówiła, że to dlatego, iż ziemia ciągle jest nagrzana od lata. Rozłożyłyśmy więc koce przy południowej ścianie zagrody i wygrzewałyśmy się tam w ciepłe rozgrzanych kamieni jak starsze panie, popijając sfermentowany sok jabłkowy rozcieńczony deszczówką, odrywając małe kawałeczki sera i keksu i starając się przeżuwać je powoli, żeby nie zwymiotować od szoku spowodowanego dostarczeniem organizmowi normalnego jedzenia. Smakowało niemal zbyt tłusto i poczułyśmy w żołądku dziwne ukłucie, więc po prostu siedziałyśmy nieruchomo, próbując zregenerować mózgi i ciała drobnymi kęsami pożywienia, spokojnie, leniwie, błogo.

Spędziłyśmy tak kilka dni i w końcu przed pójściem spać postanowiłyśmy, że nazajutrz rano wrócimy do domu zobaczyć, jak wygląda sytuacja, co chyba oznaczało, że odezwało się w nas coś ludzkiego.

Obudziłam się w środku nocy i usłyszałam gdzieś obok szelest. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to, że to Edmond, drugie, że Boże, znowu się zaczyna, a trzecie, że może to szczur i trzeba zabezpieczyć jedzenie. Ale było coś znajomego w tych odgłosach. Usiadłam i zobaczyłam, że Piper ma szeroko otwarte oczy, a na jej twarzy zagościł od dawna niewidziany uśmiech. Zagwizdała cicho i odpowiedział jej skowyt. Prawie się roześmiałam, że tak długo mi zajęło zorientowanie się, że to Jet.

Pobieglyśmy do niego. Był dużo chudszy, miał skołtunionie futro, ale poza tym wyglądał na zdrowego i szczęśliwego, że nas widzi. Położył się na plecach w obscenicznej pozie i wił się z przyjemności, gdy go głaskałyśmy, tuliłyśmy, całowałyśmy i powtarzałyśmy, jak bardzo nam go brakowało.

Wyjęłam z koszyka kawałek sera i keksu i karmiłam nimi Jeta tak powoli, jak tylko się dało, choć było to chyba bez znaczenia, bo połykał je bardzo łapczywie. Był tak wygłodzony, że dałabym mu więcej, ale nie wiedziałam, na jak długo ma nam starczyć to jedzenie.

Byłyśmy zbyt podekscytowane, żeby zasnąć, i żadna z nas nie chciała spuścić z niego oka, więc na wpół wniosłyśmy, na wpół zaciągnęłyśmy go na poddasze, co niespecjalnie mu się spodobało, ale w końcu wszyscy troje ułożyliśmy się na sianie – Jet w niewielkiej odległości od Piper, która dla pewności położyła prawą rękę na jego przedniej łapie, a ja za Piper, z ręką na jej dłoni. Tak zasnęliśmy.

Wyprawa do domu kosztowała nas mnóstwo wysiłku, fizycznego i psychicznego, a siły miałyśmy nadwyrężone. Nic nie mówiłam, ale szykowałam się na najgorsze, jednak nie zastałyśmy tam nic aż tak straszego. Dom był zdemolowany, co odczułam jak dodatkowy cios, ale nie przesadnie mocny.

Elektryczność i telefon nadal nie działały. Nie zostawiono żadnych wiadomości, listów, nic, co byłoby jakąś wskazówką, gdzie szukać Edmonda i Isaaca. Dobre było to, że nie wybito szyb i nie rozmazano gówna na ścianach. Wiele mebli wyrzucono do obory, a resztę poustawiano w rogach albo do góry nogami. Wszędzie wały się potłuczone naczynia, a te, które zostały się całe, pokryte były skorupą brudu. Toalety kipiały, a na dywanach leżały śmiecie i błoto. Nie tknięto tylko naszych ubrań, a to pewnie dlatego, że były za małe.

Kuchnia przedstawiała najgorszy widok. Najwyraźniej żołnierze też lubili w niej przesiadywać, bo duży stół zakryty był stertami papieru. Na ścianach namalowano mapy i wyżarto całe jedzenie poza tym, które pierwszego dnia znalazłam w spiżarni. Zajrzałam do obory. Nie było śladu po kurach i owcach ani żadnych innych zwierzętach. Trudno było stwierdzić, czy je wypuszczono, czy podano żołnierzom na lunch.

W dużych sypialniach sytuacja przedstawiała się nieco lepiej. Były dość czyste, z meblami zsuniętymi pod ścianę. Otwierając drzwi do mojego pokoju, wstrzymałam oddech. Gdy weszłam między te śnieżnobiałe ściany, wzniesione przed kilkoma stuleciami, zobaczyłam, że wszystko wygląda mniej więcej tak jak w dniu naszego wyjazdu, poza tym, że żonkile w butelce zwiędły i uschły. Podniosłam leżący na podłodze koc, rozłożyłam go na łóżku i wyjrzałam przez okno, wspominając, jak przyjechałam tu z Edmondem jeepem.

Nadal słyszałam echo naszych głosów odbijające się od ścian.

Zanim wyszłam, otworzyłam jeszcze małą komodę. Znalazłam w niej uprane ubrania, równiutko poskładane, i zapragnęłam tylko jednego – być czysta.

W korytarzu przejrzałam się w dużym lustrze, co było błędem, bo przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie rozpoznać osoby, którą w nim zobaczyłam – przeraźliwie chudej, brudnej i rozczochranej. Pobiełam do kranu, żeby sprawdzić, czy jest woda, ale okazało się, że kanalizacja nie działa bez pompy. Piper pomogła mi przytaszczyć na górę wiadra z wodą z beczki stojącej w ogrodzie. Nalałyśmy ją do wanny i za pomocą mydła ciotki Penn oraz zestawu czystych ubrań, podjęłam walkę o przywrócenie sobie ludzkiego wyglądu.

Jeśli kiedyś nosiliście te same ubrania dzień i noc przez kilka tygodni, to zrozumiecie, jakie to cudowne uczucie, gdy skóra znowu staje się miękka i jedwabista i jak wspaniale jest obcinać paznokcie, szorować ręce i stopy dobrym, pachnącym różami mydłem, a potem zakładać czyste ubrania, rozczesywać *czyste* włosy i suszyć je na słońcu.

Znowu napełniłyśmy wannę, tym razem dla Piper. Potem poszłam do jej sypialni przynieść jej ubrania, bo za nic nie chciała zajrzeć tam sama. Nie wiem, czego się bała, ale była w tym tak uparta jak małe dzieci, gdy twierdzą, że coś czai się w ciemnościach. Być może obawiała się duchów, które snuły się po domu, i nie miałam prawa mieć jej tego za złe.

Wzięłam dla niej czystą białą koszulę, zupełnie niepraktyczną, ale luksus bycia czystą i niepraktyczną stanowił zbyt silną pokusę. Spakowałam też kilka potrzebnych rzeczy, takich jak dzinsy, bluzy z kapturami, bieliznę i skarpety do zakładania na noc na ręce i stopy, żeby chroniły nas przed owadami.

Gdy obie byłyśmy umyte i czysto ubrane i gdy przestawiłyśmy meble w salonie na ich dawne miejsca, poweselałyśmy. Najlepszym uczuciem było chyba zrzucenie z nóg usmolonych tramppek, które nosiłam codziennie przez ponad miesiąc, i włożenie mokasynów z mojego poprzedniego życia, nowych, drogich i pachnących skórą.

Chciałyśmy też zająć się Jetem, bo nieustannie gryzł rzepy wczepione w futro. Ponieważ sprzeciwiał się kąpielom, najlepsze, co mogłyśmy zrobić, to odszukać w przedsiionku jego psią szczotkę, zabrać ją do stodoły i spróbować doprowadzić jego futro do porządku, co też mu się nie podobało. Wzięłyśmy torbę psiej karmy, którą znalazłyśmy w spiżarce, bo nakarmienie nas samych było wystarczającym problemem i bez Jeta. Była ciężka i nieporęczna, ale nie wiedziałyśmy, czy Jet zadba o siebie, łapiąc wiewiórki i króliki.

Gdy wróciłyśmy do owczarni, starannie porozkładałam nasze łupy: zapalki, mydło, czyste ubrania, kilka dodatkowych koców, psią karmę, świeczkę, którą znalazłam pod krzesłem, i kilka książek. Przyniesienie czegokolwiek jeszcze wymagałoby kolejnej wyprawy, a gdy jest się zmęczonym i niedożywionym, trzy kilometry biegu przełajowego to aż nadto.

Wieczorem Piper gdzieś poszła, a ja nadal siedziałam na zewnątrz, łapiąc ostatnie promienie słońca. Chwilę później znalazłam ją w kącie stodoły, przykrytą kocem i wtuloną w Jeta. Płakała niemal bezgłośnie, nos i oczy miała czerwone i opuchnięte, a łzy skapywały jej do otwartych ust jak do studni bez dna.

Nie musiałam pytać, dlaczego płacze. To, że byłyśmy czyste i zasadniczo bezpieczne, tylko uczyniło nieobecność kochanych osób jeszcze bardziej bolesną. Ja dawno temu zdążyłam się pogodzić ze śmiercią matki, ale Piper straciła mamę i trzech braci. Zostałam jej tylko ja, pies i mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

Chciałam komuś powiedzieć, że mam dość, że to kropla, która przepelniła czarę, że nie dam rady dłużej dźwigać własnego nieszczęścia i nieszczęścia Piper, dużo gorszego do zniesienia. Przepelniały mnie gniew i rozpacz, jak Hioba wygrażającego pięścią Bogu. Mogłam tylko usiąść przy niej, głaskać ją po głowie i szeptać: „No już dość, dość”, bo obie miałyśmy tego wszystkiego powyżej uszu.

Nie dawałyśmy rady, ale dałyśmy radę.

Zabijałyśmy czas, utrzymując się przy życiu.

Lata świetlne temu uczyłam się na wiedzy o społeczeństwie o tym, jak jaskiniowcy, buszmeni i inne prymitywne ludy spędzają każdą godzinę na poszukiwaniu pożywienia. Z satysfakcją rysowałam prostą linię oddzielającą owłosionego neandertalczyka od nas, ludzi. Pomyślałam, że gdy następnym razem będę w Nowym Jorku, odwiedzę moją starą dobrą szkołę i powiem im, żeby zastąpili rozdział o komunikacji medialnej rozdziałem o tym, Jak Przeżyć w Skrajnych Warunkach w Dziczy, gdy Całkiem Straciłeś Nadzieję.

Na szczęście miałyśmy wystarczająco dużo jedzenia, bo była jesień, czyli czas plonów, dziękczynienia. Na razie. Nie ma jednak sensu udawać, że nasza dieta była urozmaicona. Zabiłabym za kawałek grillowanego sera, kanapkę z pomidorem i colę dietetyczną, co, jeśli się nad tym zastanowić, było dość radykalną zmianą z mojej strony i gdyby tylko zobaczył to jeden z tysiąca moich psychiatrów, pewnie poczytałby to za swoją zasługę.

Tak czy inaczej, miałyśmy całe pole ziemniaków i chociaż żołnierze zakwaterowani w naszym domu też na pewno je zauważyli, to ubyło ich tylko tyle, ile jest w stanie zjeść niewielki pluton, zwłaszcza gdy nie ma do dyspozycji niezbędnych składników do przyrządzenia purée, frytek czy sałatki ziemniaczanej. Innymi słowy, zostało jeszcze jakieś dziewięć dziesiątych pola.

Większość poranków spędzałam na wykopywaniu ziemniaków, znoszeniu ich do stodoły i wkładaniu do pojemników na paszę, a Piper w tym czasie wybierała się na poszukiwanie naturalnych przysmaków, takich jak rukiew wodna, słodkie kasztany i miód. Jak zwykle wybrała dziką przyrodę i jej dary, a ja zdecydowałam się na stare sprawdzone metody.

Czasami, gdy miałam tak dość, że myślałam, że nie dam rady wykopać kolejnego ziemniaka, chodziłam z Piper i patrząc, jak się uwija, uświadamiałam sobie, że ojcem tych dzieci musiał być jakiś pixie¹. Piper umiała tropić pszczoły, znajdować ich gniazda i za pomocą dymiącej gałęzi wyjmować z nich plastry miodu. Na wszelki wypadek oglądałam te działania z bezpiecznej odległości.

Pewnego dnia pokazała mi, jak wrywać z rzeki rukiew wodną. Tłumaczyła, że nadaje się tylko ta rosnąca w bieżącej wodzie, bo inna uszkodziłaby nam wątrobę. A co, jeśli rzeka meandruje?, pomyślałam. Takich właśnie rzeczy nie lubię w przyrodzie, czyli niedookreślonych zasad. Na przykład, gdy Piper mówi, że „grzyby raczej nie są trujące”.

Zresztą i tak nie miałabym pojęcia, co począć z wielkim, lepkiem, kapiącym plastrem miodu czy kilkoma garściami rukwi poza tym, żeby wysłać je do jakiejś fabryki, gdzie zapakują je w styropian i folię. O dziwo, miały jednak smak miodu i rukwi bez poddawania ich jakimkolwiek zabiegom przetwórczym i jeśli dodać do tego wykopywane ziemniaki, zaczęłam myśleć, że poza gablotą ze słodyczami i z pięcioma czy dziesięcioma tysiącami innych niezbędnych produktów supermarketu to strata czasu.

Tymczasem dostałam nauczkę, że produkty takie jak miód trzeba przechowywać w szczelnie zamkniętym pojemniku, bo inaczej zlecą się do nich owady z całej okolicy.

Piper potrafiła wywachać na łące dziki czosnek i cebulę. Przynosiła do domu całe ich naręcza, siekała je, a potem przyrządzałyśmy ziemniaki z dziką cebulą i czosnkiem na przemian z ziemniakami bez dzikiej cebuli i czosnku. Bywały dni, że z lekkim sercem sprzedawałam całą przyszłość Anglii za słoik majonezu, ale niestety nigdy nie trafiła się taka okazja.

Prażyłyśmy też kasztany na ognisku i były nawet smaczne, z tym, że bardzo trudno się je

obierało, a skórki dostawały się za paznokcie, które potem bolały przez kilka dni. Raz zbierałam kasztany całe popołudnie, a gdy pokazałam je Piper, obrzuciła mnie spojrzeniem niemal ocierającym się o pogardę.

– Są niejadalne – powiedziała.

W ogródku warzywnym ciotki Penn rosło też kilka rzędów kukurydzy i trochę kapusty, której nie zdążyła wyjść armia brytyjska do spółki z armią ślimaków, a także sporo kabaczków, pory, fasola i mięta.

Przytaszczyłam z domu ciężką patelnię i z braku oleju gotowałyśmy warzywa na parze. Piper powiedziała, że powinnyśmy złapać i zabić królika, żeby mieć trochę tłuszczu do gotowania, ale gdy popatrzyłam na nią jak na wariatkę, dodała obronnym tonem:

– Tak pisali w podręczniku dla skautów.

Po kilku dniach stwierdziła, że powinnyśmy wybrać się na ryby, i choć na wspomnienie naszego Cudownego Dnia nad rzeką i na myśl, że mogłabym je zepsuć, zamarło mi serce, to w takich sytuacjach nostalgia nie jest najlepszym doradcą. Dlatego wzięłyśmy wędkę i wyruszyłyśmy nad rzekę.

Dzień był pochmurny i siąpił deszcz, ale Piper powiedziała, że to idealna pogoda na ryby. Jak zwykle patrzyłam, jak zakłada na brzegu przynętę, ale gdy złapała jakąś rybę, to ja musiałam ją zabić i oczyścić zgodnie z jej instrukcjami, podczas gdy ona odwracała głowę. Nie miałam powodów do narzekania na Piper, ale wolałabym nie musieć wyrywać flaków martwym pstrągom. Nie wspominając o uderzaniu ich w łeb drągiem. Nie znosiłam tego robić, ale *dawałam radę* i chyba na tym polegała różnica między nami.

No więc zjadłyśmy chronionego różowego pstrąga, w porównaniu z którym większość jedzenia wydaje się obrzydliwie tłusta, potem orzechy z miodem, a na koniec popiliśmy herbatą miętową. Choć wszystko było pyszne, to w nocy i tak marzyłyśmy o toście z masłem.

W ciągu kolejnych dni nauczyłyśmy się pichcić zupę ze wszystkiego, co dało się wrzucić do garnka, i było to dużo praktyczniejsze niż gotowanie rzeczy oddzielnie. Porowo-ziemniaczana smakowała najlepiej, a gdy skończyły się pory, zastąpiłyśmy je dziką cebulą.

Robiłyśmy zapasy, z czego tylko się dało. W stodole były dwa pojemniki na paszę, zabezpieczone przed myszami. Jeden zapełniłam ziemniakami, a drugi do połowy orzechami, kukurydzą i kapustą. Tak naprawdę potrzebowałyśmy wielkiej chłodziarki-zamrażarki marki Amana z automatem do lodu i kranikiem z napojem imbirowym.

Zabawne, że nie byłam dużo szczuplejsza niż w dniu przyjazdu do Anglii, tyle że teraz jadłam wszystko, co wpadło mi w ręce.

Gdzieś po drodze zatraciłam zamiłowanie do diet.

Częściowo chodziło też pewnie o to, że nie byłabym sobą, gdybym nie odzyskała apetytu akurat wtedy, gdy reszta świata przymiera głodem, a częściowo o to, że myślenie o figurze, gdy na każdym kroku umierają ludzie, nawet mnie wydawało się skrajnie głupie.

Co mogę powiedzieć?

Nawet wojna ma jakieś pozytywy.

Wiedziałam, że Edmond do nas wróci, jeśli tylko będzie mógł.

Próbowałam zrobić tak jak na filmach, czyli mówiłam do Jeta:

– Jet! Szukaj Edmonda!

Wskazywałam bliżej nieokreślony kierunek, ale nie wypruwał naprzód jak Lassie za świeżym tropem, tylko siadał i przez kilka sekund usłużnie się we mnie wpatrywał, a potem, gdy okazywało się, że nie potrafię sprecyzować swojego polecenia, tracił zainteresowanie.

– Nie możesz wysłać Jeta, żeby poszukał Gin? – spytałam Piper takim tonem, jakbym wyrzucała jej, że kiepski z niej zaklinacz zwierząt.

Pokręciła głową.

– Gdyby wiedział, gdzie szukać, sam by ją znalazł – odparła.

Spojrzałyśmy na niego.

Siedział z lekko uniesionym nosem, wężąc coś na wietrze.

– Widzisz? – podjęła. – Ma na oku całą okolicę. Przefiltrowuje przez nos wszystkie zapachy w promieniu kilku kilometrów.

Pewnego popołudnia zastałam Piper pogrążoną w rozmowie z Jetem i gdy spytałam, o czym mówią, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że o „psich sprawach”. Czasami czułam się samotna, będąc wyłączona z tych pogawędek, ale najczęściej po prostu nie zwracałam na to uwagi. Ot. Ja lubię stare filmy. Ona rozmawia z psami.

Mijały dni. Edmond i Isaac nie dawali znaku życia i musiałam walczyć z niezdolnym lękiem, który nieustannie czaił się z tyłu mojej głowy. Długo mi zajęło, żeby przyznać się przed sobą, że już nie odczuwam jego obecności. Czasami leżałam, nie mogąc zasnąć aż do świtu, rozpaczliwie nasłuchując ciszy i próbując przypomnieć sobie jego twarz.

Czasami wydawało mi się, że słyszę w głowie jego głos, ale potem okazywało się, że to tylko moja podświadomość na nowo puszcza starą taśmę w akcie jakiejś perwersyjnej nostalgii.

Zaprzeczałam temu, co zdawało się faktem.

A jednak... widziałam tych zabitych. Uważnie studiowałam każdą z tych ohydnych, przerażających twarzy, żeby nie mieć wątpliwości.

Coraz częściej ciągnęło mnie do domu. Potrzebowałam się upewnić, że Edmond tam na nas czeka. Może udało mu się tam dowlec, ale nie miał siły zrobić ani kroku dalej.

Wymyślałam jakieś wymówki, żeby zniknąć na kilka godzin, albo po prostu mówiłam Piper, że znalazłam coś w ogródku, co lada moment dojrzeje, na przykład pomidory, albo że czegoś potrzebujemy, na przykład czystych skarpetek. Nie miała nic przeciwko temu, że chodzę sama, bo nie lubiła tam zaglądać z powodu duchów, a także pewnie dlatego, że wiedziała, z jakiego powodu tak kursuję, i cieszyła się, iż ktoś sprawdza tak na wszelki wypadek.

Ponieważ Piper wszędzie zabierała ze sobą Jeta, nie miałam systemu ostrzegawczego i za każdym razem, gdy zbliżałam się do domu, wypatrywałam znaków – dziwnych wzorów na chmurach, trzynastu srok, żab wielkości antylopy i tym podobnych. Czasami byłam przekonana, że coś wyczuwam, że doświadczam czegoś tajemniczego i mistycznego, ale chyba nie zdziwicie się, gdy wam powiem, że się myliłam.

Nie miało to znaczenia. Na najdrobniejszą sugestię, że mamy towarzystwo, serce zaczynało mi walić jak oszałałe. Zwykle była to ćma objijająca się o szybę. Albo myszy. Albo zupełnie nic.

Gdy znalazłam się już w środku, próbowałam poprzestawiać rzeczy na ich miejsca.

Przesuwałam meble. Zamiatalam dywany. Myłam talerze w zimnej wodzie z mydłem.

Zdrapywałam brud ze ścian.

Czasami po prostu siedziałam w moim pokoiku albo w pokoju Edmonda i Isaaca, licząc na to, że coś się wydarzy.

Czasami zakładałam jego ubrania i snułam się po domu, szukając nie wiadomo czego.

Byłam sobą przerażona. Stałam się jednym z duchów, których Piper tak bardzo się lękała.

Pewnego dnia poszliśmy do domu razem, bo chciała się wykapać. Nie ma sensu udawać, że miałam jakiegokolwiek przeczucia, gdy Piper była obok, bo jeśli cokolwiek miałyby się objawić, to na pewno nie mnie, tylko jej.

Jak zwykle musiałyśmy przytaszczyć wiadra zimnej wody, ale przynajmniej wykapałyśmy się w wannie. Potem posiedziałyśmy trochę w ogrodzie i wymieniłyśmy przeczytane książki na nowe. Przypominało to wyprawę do kina w dawnych czasach sprzed wojny – jakąś odmianę w rytmie dnia.

Przez chwilę panowała absolutna cisza, przerywana tylko delikatnym nuceniem Piper, popiskiwaniami pierwiosnka na jabłonce i odgłosem przewracanych przeze mnie stron książki.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Był to tak niespodziewany dźwięk, że nie wiedziałyśmy, jak zareagować.

Znieruchomiałymy na całą wieczność.

Piper była przerażona. Szeroko otworzyła oczy.

Ale ponieważ zawsze odbieram telefony, odebrałam i ten.

Podniosłam słuchawkę, ale nic nie powiedziałam.

– Halo? – odezwał się ktoś po drugiej stronie i przez chwilę nie mogłam rozpoznać głosu.

– Halo? – powtórzył, a potem dodał błagalnym tonem: – Proszę coś odpowiedzieć.

Rozpoznałam go.

– Halo – odparłam. – Tu Daisy.

Po powrocie do Nowego Jorku wylądowałam w szpitalu. Spędziłam tam długie miesiące, gapiąc się w ścianę, milcząc, zeszywniała z gniewu i żalu. Dopisujący mi apetyt konfundował i irytował lekarzy, podkopując ich diagnozy. Nie potrafili stwierdzić, co mi dolega. A ja nie zamierzałam im w tym pomagać.

W końcu zmuszeni byli mnie wypuścić, nadal nie dostrzegając oczywistego.

No więc proszę, oto wyjaśnienie. Mam nadzieję, że słuchają.

Byłam w szpitalu, bo tak mi pasowało. Tylko w ten sposób mogłam wydostać się z Anglii. Nie interesowało mnie głodzenie się, zabijanie, cięcie, okaleczanie czy karanie.

Naturalnie, sukcesywnie umierałam, ale to dotyczy przecież wszystkich. Każdego dnia z poczucia straty coś we mnie ginęło.

Jedynym lekarstwem na moje schorzenie, zarówno wtedy, jak i teraz, było to, że jak coś lub kogoś kocham, to nie potrafię odpuścić. Wszystko spisywałam, z początku w urywany sposób, tu zdanie, tam kilka słów, naraz więcej nie dawałam rady. Potem zaczęłam pisać więcej. Czas przytłumił mój smutek, ale go nie uleczył.

Gdy teraz zaglądam do tej mojej pisaniny, ledwo mogę ją czytać. Szczęście jest najgorsze. Są takie dni, że nie mogę się zmusić do wspomnienia. Ale nie wymażę z pamięci ani jednego szczegółu z przeszłości. To, co istotne w moim życiu, zależy od tego, co wydarzyło się sześć lat temu.

Co wciąż się dzieje. W mojej głowie, ciele, snach.

Potrzeba było całego tego czasu, żeby wojna się skończyła.

Chciałam dodać „na dobre”, ale nawet teraz nie chcę zapeszać.

Sama okupacja trwała tylko dziewięć miesięcy, do świąt Bożego Narodzenia tamtego roku. Byłam już wtedy z powrotem w Nowym Jorku. Znalazłam się tam nie z własnej woli, ale dlatego, że na wpół mnie zaciągnięto, na wpół deportowano, wspomagając się szantażem, a po tych wszystkich trudnościach, którym udało mi się stawić opór, zbrakło mi sił na tę ostatnią bitwę.

Najgorszą rzeczą przez te lata nie był ani szpital, ani samotność, ani wojna, ani nawet rozłąka z Edmondem.

Najgorsza była niewiedza.

Ostatnio jest jakaś moda na mówienie tak, jakby całe życie dało się upakować w kilku latach, zwłaszcza gdy na koniec ludzie odwalają kitę, co zresztą zdarza się coraz częściej. Dla mnie jednak było na odwrót. Po wyjeździe z Anglii weszłam w stan jakiegoś zawieszenia. Przez cały czas czekałam, żeby wrócić do domu.

Pewnie myślicie, że przesadzam, że powinnam dookreślić to stwierdzenie: owszem, czekałam, ale w tym czasie podjęłam także pracę, czytałam książki, spędzałam dni w schronach przeciwlotniczych, wypełniałam dokumenty związane z racjonowaniem żywności, pisałam listy, utrzymywałam się przy życiu.

Jednak prawda jest taka, że nic nie było w stanie odwrócić mojej uwagi od czekania.

Czas. Po prostu. Płynął.

Na początku, oczywiście, wróciłam do rodziny. Poznałam swoją przyrodnią siostrę. W sumie to mniej nawet niż przyrodnią. Półprzyrodnią. Nawet ćwierćprzyrodnią. Nazwali ją Leonora. Zadarty Nosek, Skarbeczek, Nareszcie Normalne Dziecko – to określenia, którymi Davina posługiwała się jakieś dwieście czy trzysta razy dziennie przez pięć lat.

Doskonale wiem, jak toczą się rozmowy z moim ojcem.

„Dzięki Bogu z Leonorą nie ma takich problemów... Te bająnskie sumy, które zmarnowaliśmy na...” – Znaczące kiwnięcie głową. „Oczywiście, kochanie” – odpowiada mój ojciec ze zmieszaniem wypisanym na twarzy, cicho odpukując w niemalowany zagłówek z kanadyjskiej sosny, robiony na zamówienie.

W jej wieku też byłam skarbeczkiem.

Dla świętego spokoju udawałam, że jestem miła dla Leonory. Nie żeby miało to dla niej jakiegokolwiek znaczenie, bo uważam, że podziw należy się jej jak psu miska.

No i dobrze. Będzie jej dużo łatwiej w życiu.

Kilka dni po wypisaniu ze szpitala opuściłam łono rodziny. Większość szkół była zamknięta, zresztą wśród tego całego zniszczenia i śmierci sens edukacji jakoś wszystkim umykał. Przeniosłam się do opuszczonego biurowca w pobliżu tego, co zostało z dworca Grand Central. Nikt już nie chciał mieszkać w tej okolicy, ale ja czułam się tam dobrze. Niebo wydawało się większe i poza sporadycznymi strzałami panował spokój.

Za rogiem, na skrzyżowaniu Czterdziestej Drugiej i Piątej, mieściła się Biblioteka Publiczna, główna filia.

Sądziłam, że brakuje im pracowników. Jak w całej okolicy. Na rozmowie rekrutacyjnej spytali mnie, co sędzę o zagrożeniu bombami i snajperach i byli pod wrażeniem mojej rzekomej odwagi. Ponieważ tylko ja zgłosiłam się na to stanowisko, nie przeszkadzała im historia mojego zatrudnienia, czyli monitoring korytarza w wariatkowie.

Dzień po dniu wykonywałam swoje obowiązki, których w zasadzie nie miałam. Było cicho, pusto i głucho. Przychodzili tylko regularni czytelnicy – grupka staroświeckich zbikowanych obsesjonatów tekstów źródłowych i poszukiwaczy doznań intelektualnych. Wszyscy inni siedzieli w domu i korzystali z internetu, bardziej przejmując się zagrożeniem terrorystycznym niż jakością uzyskanych informacji. Większość ludzi przyzwyczyła się do życia bez luksusów w postaci książek bibliotecznych.

Zaledwie kilka miesięcy temu ustało te tysiąc wojen toczonych na całej planecie. A może była to jedna wielka wojna? Zapominam.

Tak jak chyba wszyscy.

Kilka dni po tym, jak w końcu otwarto granicę między Stanami Zjednoczonymi a Anglią dla „okazjonalnych przejazdów”, przyszedł list od Piper. Długo nie mogłam się zebrać na odwagę, żeby go przeczytać.

Chociaż raz kontakty mojego ojca na coś się przydały. Starał się jakoś mi zadośćuczynić, co doceniałam.

Byłam jedną z pierwszych osób, którym pozwolono wrócić. Śmialibyście się, gdybym wam opowiedziała, jak skomplikowana była ta podróż. Od początku do końca trwała prawie tydzień. Oczywiście nie cały czas się przemieszczałam, bo dużo było czekania, ale to dla mnie nie nowość.

Gdy samolot w końcu wylądował, modliłam się, żeby jakimś cudem Edmond pojawił się na lotnisku tak jak ostatnim razem, z papierosem, słodko, po psiemu przekrzywiając głowę. Ale niby jak miałby to zrobić?

Mimo to byłam rozczarowana.

Procedura kontrolna była tak skomplikowana, że musiałam czekać z grupką zaniepokojonych ludzi – w większości Brytyjczyków i tylko pojedynczych Amerykanów – którzy utknęli po niewłaściwej stronie Atlantyku, gdy zamknięto granice.

Nasze prawo pobytu w Anglii musiało być skrupulatnie sprawdzone, co wymagało sterty papierów, kart identyfikujących na podstawie odcisków palców i oczywiście paszportów.

Wszyscy urzędnicy na lotnisku nosili broń. Ale spod posępnych min wyzierało podekscytowanie. Byliśmy niemal jak turyści, pierwsi, jakich widziało się od lat. Symbolizowaliśmy koniec długiej, trudnej zimy. Jak krokusy. Witano nas z nieskrywaną radością.

Gdy wyszłam na zewnątrz, znajomy zapach tamtego deszczowego kwietniowego dnia uderzył mnie z taką siłą, że zakręciło mi się w głowie. Musiałam postawić torbę i poczekać, aż mi przejdzie.

Od czasu mojej ostatniej wizyty lotnisko zmieniło się nie do poznania – zarosło janowcem, bluszczem i olbrzymimi, niemal prehistorycznymi ostami. Zgodnie z przewidywaniami Isaaca krajobraz błogo pożegnał się z cywilizacją. Niemal spodziewałam się na pasie startowym dzików i jeleni.

Parking był pusty, jeśli nie liczyć kilku wojskowych jeepów. Ich właściciele wyciosali miejsce w gęstych chaszczach, porastających teraz wszystko, ale wyglądało na to, że ich trud będzie miał tylko tymczasowy efekt. Czułam się, jakbyśmy wylądowali w dziczy. Cieszę się, że nie widziałam wcześniej, w jakim stanie są pasy startowe.

Żołnierz przystawił na moim paszporcie pieczętkę z napisem „Rodzina” wydrukowanym czarnymi wielkimi literami. Spojrzałam na nią teraz jeszcze raz, bo spodobał mi się złowrogi wygląd tego słowa.

– Wracam – powiedziałam bezgłośnie do wszystkiego, co zostawiłam w tyle, i ruszyłam do jedyne go rozklekotanego autobusu, który miał mnie zawieźć do domu.

Czekając na połączenie z Londynu, znalazłam działającą budkę telefoniczną i wybrałam numer, który przysłała mi Piper. Po wielu sygnałach odezwał się męski głos, którego nie rozpoznałam, i powiedział, że nikogo nie ma w domu, więc zostawiłam wiadomość, o której mniej więcej przyjadę.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – dodał mężczyzna po chwili milczenia i się rozłączył.

Nie było bezpośredniego połączenia. Siedem godzin i dwa autobusy później zakończyłam ostatni etap podróży tuż przed wjazdem do wioski, która wyglądała, jakby od stu lat nikt w niej nie mieszkał.

Autobus przyjechał wcześniej i nikt nie czekał na mnie na przystanku, ale drogą szła pełna wdzięku młoda kobieta z ciężką kurtyną ciemnych włosów, o najbielszej skórze, jaką widziałam w życiu.

Gdy mnie zobaczyła, twarz rozświetlił jej promienny uśmiech. Zaczęła biec, a uśmiech zdradzał, że nic się nie zmieniła. Jej głos wołający „Daisy!” brzmiał tak samo jak kiedyś, a gdy spróbowałam spojrzeć jej w twarz i odnaleźć w niej tę małą dziewczynkę, którą kiedyś znałam, oczy zaszyły mi łzami i nie mogłam się skupić.

Nie płakała. Widać było po jej minie, że już wcześniej postanowiła, że się nie rozplacze. Popatrzyła na mnie swoimi wielkimi smutnymi oczami, jakby im nie dowierzała.

– Och, Daisy – westchnęła. I nic więcej. A potem znów: – Och, Daisy.

Głos ugrzązł mi w gardle i nie mogłam nic odpowiedzieć, więc po prostu ją przytuliłam.

W końcu cofnęła się i schyliła, żeby podnieść moją torbę.

– Wszyscy na ciebie czekają – powiedziała, a potem dodała: – Nadal nie mamy benzyny do jeepa. Pójdziemy piechotą?

Roześmiałam się, bo co by się stało, gdybym powiedziała „nie”. Wzięłam swoją drugą torbę, a Piper chwyciła mnie za rękę, jakbyśmy w ogóle się nie rozstawały i jakby nadal miała dziewięć lat, i ruszyliśmy do domu w wiosennym słońcu, wzdłuż przerośniętych kwitnących żywopłotów obsypanych kwiatami jabłonek i bujnych pól, a potem przez wzgórza. I wszystko, czego nie udało jej się wytłumaczyć w liście, opowiedziała mi teraz, o Isaacu, ciotce Penn i Osbercie.

Żadna z nas nie wspominała Edmonda.

Oto, co między innymi powiedziała.

Że śmierć ciotki Penn ostatecznie potwierdzono dwa lata po jej wyjeździe do Oslo. Wiedziałam o tym. Ale nie miałam pojęcia, że ją zastrzelono, gdy próbowała wjechać do kraju kilka miesięcy po wybuchu wojny, rozpaczliwie pragnąc wrócić do rodziny.

Biedne siostrzyczki, pomyślałam. Obie zabite przez swoje dzieci.

Nasza wojna i ich okazały się zadziwiająco podobne. Wszędzie roiło się od snajperów, rebeliantów, rozproszonych band tajnych bojowników i przez większość czasu nie można było odróżnić Tych Dobrych od Tych Złych. Oni sami też tego chyba nie potrafili. W powietrze wylatywały autobusy, a od czasu do czasu także biurowiec, poczta albo szkoła. Bomby podkładano w galeriach handlowych i podrzucano w paczkach. Czasami bez powodu ogłaszano zawieszenie broni, ale potem ktoś wchodził na minę i wszystko zaczynało się od nowa. Możecie spytać tysiąc osób na siedmiu kontynentach, o co chodziło, i nie uzyskalibyście dwóch takich samych odpowiedzi. Nikt nie miał pewności, ale można obstawiać, że padłoby jedno lub więcej z następujących słów: ropa, pieniądze, ziemia, sankcje, demokracja. Tabloidy pisały z nostalgią o starej dobrej drugiej wojnie światowej, gdy Nieprzyjaciel mówił w obcym języku, a wojska

szły walczyć w jakieś inne miejsce.

A jednak życie płynęło dalej. Choć dla turystów granice pozostały zamknięte, po skończonej okupacji, czyli niedługo po moim wyjeździe, życie zaczynało się toczyć normalnym trybem. Gdy oficjalnie stwierdzono, że ciotka Penn nigdy nie wróci, Osbert miał już osiemnaście lat, a ponieważ nikt inny nie był zainteresowany adopcją reszty ich rodziny, to jemu przypadł ten zaszczyt, choć, jak twierdziła Piper, niewiele się zmieniło.

– Wyprowadził się rok temu – oznajmiła. – Do swojej dziewczyny. Ale cały czas się widzimy.

Isaac najwyraźniej pozostał sobą. Wprawdzie był teraz trochę bardziej rozmowny, ale zwracał się głównie do zwierząt. Ostatnie pięć lat poświęcił trzodzie owiec ze skołtunionym runem. Mieli też z Piper kozy, małe stadko krów, świnie, dwa konie, kucyka i kurczaki. Ogrody warzywne rozrosły się do olbrzymich rozmiarów, z wydzieloną działką, na której uprawiano rośliny wyłącznie na nasiona.

Postanowili być samowystarczalni. Na razie wydawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem i naturalnym dla nich stylem życia. Piper powiedziała, że ludzie przyprowadzali też Isaakowi zwierzęta hodowlane z różnymi fizycznymi i psychicznymi schorzeniami, bo wiedzieli, że je wyleczy, a w tych czasach byłoby rozrzutnością postawić krzyżyk na chorym czy niebezpiecznym zwierzęciu. Mówiła, że ludzie w hrabstwie przezywali go „znachorem”, ale z sympatią.

A potem opowiedziała mi o sobie, że jest zakochana w Jonathanie, on studiuje medycynę i ona też by chciała. Znowu otwarto uniwersytety, ale lista oczekujących kandydatów była tak długa, że Piper wątpiła, aby dostała się w tym roku. Z tego, co mówiła, zorientowałam się, że nie chodzi o jakiś przelotny romans nastolatków. Ale czy po Piper można by się spodziewać czegoś innego? Powiedziała, że ją kocha. No jasne, że ją kochał. Odparłam, że nie mogę się doczekać, kiedy go poznam, i była to święta prawda.

Ostatnie kilkaset metrów pokonałyśmy w milczeniu i gdy podeszłyśmy do podjazdu, moim oczom ukazały się miodowożółte kamienne ściany domu. Ścisnęłam dłoń Piper i serce zaczęło mi łomotać, kurcząc się tak gwałtownie, że w uszach zahuczała mi krew.

Isaac wyszedł nam na powitanie. Trzymał za obrozę ślicznego border collie.

Uśmiechnął się, gdy rzuciłam mu się w ramiona. Poczułam jego znajomy zapach i zobaczyłam, że mnie przerósł, wyszczupłał i zmężniał.

– Chciałem po ciebie wyjść – powiedział poważnym tonem – ale Piper mi nie pozwoliła. Wiesz, jaka jest zaborcza.

Uśmiechnął się do nas obu.

Było to chyba najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział w mojej obecności. Przekrzywił przy tym głowę i lekko unióśł brew tak, że ugięły się pode mną kolana. Tak silne było wspomnienie. I strach.

– Chodź – rzuciła Piper i znowu wzięła mnie za rękę. – Pójdziemy do Edmonda.

Sześć lat.

Moje marzenia były tak niezmiennie jak ja sama: Edmond i ja. Nasze życie razem.

Wystarczyło. Nigdy nie zadałam sobie trudu, żeby je jakoś uszczegółwić. Drobiazgi były bez znaczenia.

Było ciepło. Edmond siedział w fotelu na dworze, w białym ogrodzie, wyprostowany, z półprzymkniętymi powiekami. Nie widział nas.

Piper podeszła do niego i przyklękła.

– Edmondzie – wyszeptwała, delikatnie kładąc mu dłoń na kolanie – zobacz, kto do nas przyjechał.

Odwrócił się w moją stronę. Zamarłam. Nie byłam w stanie zrobić kroku ani się uśmiechnąć.

Był chudy, dużo chudszy niż ja, twarz miał zmęczoną. Podczas gdy Isaac był smukły i zwinny, Edmond wyglądał na wymizerowanego.

Lekko zmrużył oczy i odwrócił wzrok. Zamknął powieki.

Zamknął temat.

Nie byłam przygotowana.

Piper przyciągnęła metalowe rozkładane krzesło i posadziła mnie na nim, po czym poszła zrobić herbatę. Najpierw po prostu na niego patrzyłam. Odpowiedział mi spojrzeniem oczu koloru pochmurnego nieba. Ręce pokryte miał bliznami, część była świeża, część w trakcie gojenia, a część przeszła już w cienkie białe linie. Takie same szramy miał na szyi i co chwila nerwowo przebiegał po nich palcami.

– Edmond...

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nie żeby miało to znaczenie. Dla niego wciąż znajdowałam się tysiące kilometrów dalej. Granice nadal były zamknięte.

Siedziałam, czując się niezręcznie, nie wiedząc, co zrobić. Chciałam go dotknąć, ale gdy otworzył oczy, w jego spojrzeniu znowu była jakaś trucizna.

Piper wróciła z herbatą. Stara, dobra, niezawodna angielska herbata. Dwie wojny światowe temu sanitariuszki w szpitalach polowych podawały ją rannym, ale wylewała się z ich poranionego układu pokarmowego, powodując zgon.

Odwróciłam się w stronę ogrodu. Był starannie wypielęgnowany – zastanawiałam się przez kogo. Rzeźbę aniołka oczyszczono z mchu i obsadzono przebiśniegami i białymi narcyzami, które pachniały upajająco.

Pomyślałam o wysuszonych kościach dawno zmarłego dziecka, wtopionych głęboko w ziemię pod naszymi stopami, i o tym, że jego duch nas obserwuje.

Pnące róże na ciepłych kamiennych ścianach były całe w pąkach i wielkie, powyginane gałęzie wiciokrzewu i klematisu walczyły o miejsce na szczycie muru. Przy drugiej ścianie domu obsypane białym kwiatem gałęzie jabłunki przycięto w ostro zakończone krucyfiksy i dociśnięto na płasko do kamienia. Poniżej na rabatkach pochylały się olbrzymie falbaniaste wargi gigantycznych białych i kremowych tulipanów. Były na skraju przekwitania, zbyt szeroko otwarte, rozchylone, ukazujące obsceniczny czarny środek. Nigdy nie miałam swojego ogrodu, ale nagle w tym gąszczu dostrzegłam coś, co nie było pięknem. Być może było namiętnością. I czymś jeszcze. Wściekłością. To Edmond, pomyślałam. Rozpoznałam go w tych roślinach.

Odwróciłam się i napotkałam jego wzrok, zagniewany i nieustępliwy.

Dzień był tak piękny. Ciepły i buzujący życiem. Zupełnie nie współgrał z rozgrywającą się sceną.

Piper spojrzała na mnie i posłała mi wątpy, zmęczony uśmiech.

– Daj mi trochę czasu – powiedziała, jakby Edmonda nie było obok.

No cóż, czy miałam jakiś wybór?

Od tamtej pory, żeby wejść do ogrodu, musiałam zdobyć się na wielki wysiłek woli.

Powietrze było duszące, napięte, wygłodniałe rośliny żarłocznie wysysały z ziemi soki. Niemal rosły w oczach, sięgając swoimi tłustymi zielonymi językami w głąb czarnej gleby. Stały się samolubne i zachłanne, gwałtownie wdychając powietrze.

Nie potrafiłam oddychać w tym ogrodzie. Czułam się przytłoczona, dławiałam się, kurczowo chwytając się pogodnych myśli, żeby Edmond nie miał dostępu do mojej głowy i nie zobaczył, jaka jestem przerażona, jaka wściekła i jak wielkie mam poczucie winy. Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek próbował.

Ciągle tam przesiadywał, zimny i nieporuszony jak ta rzeźba zmarłego dziecka.

Z dnia na dzień siedziałam przy nim coraz krócej, bo strach brał górę, a obezwładniająca biel ogrodu mnie oślepiała.

Wymyślałam wymówki, znajdowałam sobie zajęcia na farmie. Wokół było mnóstwo pracy, więc mogłam się oszukiwać, że nikt nie zauważa tego, co oczywiste. To jak z głodzeniem się. Każdy wiedział.

Kilka dni później znaleźliśmy się z Isaakiem sam na sam w owczarni. Piper poszła spotkać się z Jonathanem, który wrócił po tygodniu spędzonym w szpitalu (podróże były tak uciążliwe, że nie było sensu, żeby codziennie przyjeżdżał do domu).

Isaac spojrzał mi prosto w oczy, tak jak wtedy, gdy zwracał się do psów.

– Porozmawiaj z nim – powiedział bez żadnego wstępu.

– Nie potrafię.

– Przecież to dla niego tutaj przyjechałaś.

– Nie będzie mnie słuchał.

– Ależ on słucha. Nie potrafi *nie* słuchać. Właśnie przez to ściągnął na siebie te wszystkie kłopoty.

Wiedziałam, że każdy z nich opowiedziałby mi całą historię, ale nie miałam odwagi zapytać. Nie miałam odwagi się dowiedzieć.

Spojrzałam Isaakowi w oczy, wyrażające coś między serdecznością a zubożeniem.

Widziałam, że cierpi z powodu Edmonda na tyle, na ile potrafił zdobyć się na współczucie dla drugiego człowieka.

I nagle to coś w środku, co przez te wszystkie lata dawało mi poczucie celu, podeszło mi do gardła niczym wymiociny. Było silne jak trucizna i przynajmniej ten jeden raz nie stłumiłam go ani nie spróbowałam przekształcić w coś uprzejmego.

– Skoro tak cholernie uważnie słucha – wykrzyczałam – to dlaczego nie słyszy, że tylko dla niego udało mi się przeżyć te wszystkie lata, dzień po dniu?!

– Wie o tym – odparł Isaac. – Tylko zapomniał, jak w to wierzyć.

Długo milczałam.

– Przeraża mnie ten ogród.

– Rozumiem – skwitował.

Wpatrywaliśmy się sobie w oczy i zobaczyłam to, co potrzebowałam zobaczyć.

– Mów do niego – powiedział spokojnie i wrócił do karmienia świń.

Ponieważ nie było nic innego do roboty, więc mówiłam do niego. Poszłam do ogrodu i siedziałam z nim. Mijała godzina za godziną, a ja do znudzenia powtarzałam to samo. Przez

większość czasu czułam, że drzwi są zamknięte na cztery spusty, a mój głos się przez nie nie przedziera. Ale się zaparłam.

– Słuchaj, co mówię, draniu jeden!

Nie poruszył się.

– Słuchaj, co mówię.

W końcu coś się zadziało. Wreszcie uwiodły mnie ciepło, zapach i ciężkie powolne brzęczenie pszczoł. Zadziały na mój umysł jak opium, tak że konwulsyjnie ściśnięte gniazdo lęku i wściekłości, którymi karmiłam się przez te wszystkie lata, zaczęło się rozkurczać.

Zaczęłam się otwierać.

– Kocham cię – wyszeptalam w końcu.

A potem powtarzałam mu to co chwila, aż słowa przestały brzmieć jak słowa.

Wreszcie spojrział na mnie przygaszonym wzrokiem i powiedział:

– To dlaczego mnie zostawiłaś?

Spróbowałam mu wytłumaczyć, jak wyglądała nasza wędrówka i tamten dzień, gdy byliśmy z Piper w domu, jak zwykle na niego czekając, i że zadzwonił telefon i usłyszałam głos mojego taty, i jak przez te wszystkie lata żałowałam, że ją wtedy podniosłam, choć przecież to zrobiłam, i że gdy się zorientowałam, jakie tata ma wobec mnie plany, nic już nie mogłam poradzić, bo dowiedział się, gdzie jestem, i miał „znajomości za granicą”, i że pomimo wszystkich moich zwycięstw nad przeciwnościami losu nadal byłam piętnastoletnią niunią w środku wojny, bezradną w obliczu Oficjalnego Lekarskiego Zaświadczenia o Konieczności Natychmiastowej Hospitalizacji. Za granicą.

Tata sądził, że robi dla mnie to, co najlepsze.

Edmond odwrócił wzrok. Oczywiście, że znał tę historię. Piper opowiadała mu ją pewnie setki razy.

Ale chyba potrzebował usłyszeć ją ode mnie.

Nachyliłam się, ujęłam jego dłonie i przycisnęłam do twarzy, a gdy próbował je wyrwać, nie pozwoliłam mu. A potem, nie zastanawiając się, czy mnie słucha, opowiedziałam mu o całej reszcie. O wszystkich tych latach, przez które wciąż na nowo przeżywałam nasze wspólne chwile, przez które próbowałam go odnaleźć, przez które nie pojawił się nikt i nic innego. I jak przez każdą minutę każdego roku próbowałam wrócić do domu.

Siedzieliśmy tak, aż dzień przeszedł w zmierzch, a zmierzch w wieczór i ukazał się księżyc, a konstelacje przesuwwały się po niebie. Ja mówiłam. On słuchał. Zajęło mi prawie całą noc, żeby powiedzieć mu wszystko, ale nie przestawałam, aż nie zostało nic do dodania. A gdy w końcu chciałam puścić jego ręce, bo moje zmarzły i były zmęczone, to nie dałam rady.

Siedzieliśmy tak, blisko siebie, w tym białym ogrodzie oświetlonym zimnym białym światłem gwiazd, mogąc się ogrzać tylko przy sobie nawzajem.

– Okej – rzucił w końcu głośno dziwnym, napiętym głosem, jakby zapomniał, jak się mówi.

I to by było na tyle. Okej.

A potem oswobodził ręce i ujął moje dłonie, zeszywniałe i lodowate, przykrywając je swoimi, ciepłymi. To był początek.

Zgodnie z tym, co mówiła Piper, gdy skończyła się okupacja, większość młodych mężczyzn dostała powołanie do wojska i znaczna część mieszkańców miast zaczęła się przenosić na wieś, gdzie rzekomo było bezpieczniej. Jak grzyby po deszczu powstawały spółdzielnie organizujące prace gospodarskie i dbające o to, aby każdy był najedzony.

To właśnie w takiej spółdzielni Piper poznała Jonathana – pracował z jednym z lekarzy, a ona nadzorowała dojenie krów. Nie trzeba było żadnych wzajemnych umizgów. Po prostu pewnego dnia się spotkali i odtąd byli razem.

Mieszkał teraz z nimi. To on odebrał mój telefon z Londynu. Tworzyli z Piper zgraną parę. Ona poważna i łagodna, on żywiołowy i dowcipny, całkowicie zaangażowany w sprawy tego świata, jak nikt z jej rodziny.

Od razu go polubiłam. Będąc spoza rodziny, oboje występowałam w roli opiekunów cieszących się specjalnymi względami.

Wiedziałam, że będzie chronił Piper.

Opowiedział mi wszystko o latach, które nastąpiły po moim wyjeździe. W końcu otwarto szkoły, w sklepach pojawiło się jedzenie, wyrosły sieci dystrybucji, a na czarnym rynku można było kupić wszystko, od importowanych leków po nowe buty, jeśli tylko miało się pieniądze.

– Dla wielu ludzi był to straszny czas – powiedział, a Piper spuściła wzrok. – Tylu zginęło.

– Powiedz mi, co się wydarzyło – poprosiłam pewnego wieczoru, gdy niebo upstrzone było różowo-złotymi wstążkami, a ogród był skąpany w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Zdawałam sobie sprawę, że Edmond i Isaac przeżyli, ale nic więcej. Nie wiedziałam, jak im się to udało. Ani co widzieli. Ani co zrobili.

Piper milczała, więc to Jonathan wtajemniczył mnie w ostatni rozdział tej historii.

Dowiedziałam się, że Edmond i Isaac żyli spokojnie w Gateshead przez całe lato, tak jak ja i Piper w Reston Bridge. Potem sprawy zaczęły przybierać inny obrót. Nad okolicą zebrały się czarne chmury. Mówiło się o terrorze i gwałtach. Edmond i Isaac wiedzieli – tak jak tylko oni potrafili coś wiedzieć – że szykuje się coś złego. Próbowali ostrzec ludzi, porozmawiać z doktorem Jamesonem. Wysłuchał ich, wykazał zrozumienie. Zdawał sobie jednak sprawę, że niełatwo będzie przekonać ludzi do działania. Ta mała społeczność była zbyt zastała i zbyt przerażona, żeby uciekać i ukrywać się w lesie, tylko dlatego, że coś nieokreślonego wisi w powietrzu, a dwóch chłopców ma złe przecucia. To za mało, żeby skłonić ich do opuszczenia domów. Nie można ich za to winić, zwłaszcza teraz.

Isaac wiedział, że przede wszystkim musi uniknąć śmierci i dopilnować, żeby Edmond też przeżył. Ale Edmond inaczej na to patrzył. Uważał, że jeśli odejdą i porzucą tych ludzi, to skazą ich na pewną śmierć. Po raz pierwszy się pokłócili. Isaac okazał się silniejszy. Użył całej swojej woli, żeby wpłynąć na Edmonda. Styranił go. Zrobił to, co konieczne, by obaj przeżyli. I udało im się. Ale wbiło to między nich klin. Isaac potrafił pogodzić się z konsekwencjami i żyć dalej. Edmond nie.

Znaleźli kryjówkę, ale zrobiło się w niej zbyt niebezpiecznie. W okolicy roilo się od żołnierzy. Isaac rozumiał, że aby przeżyć, muszą nieustannie się przemieszczać. Próbował przekonać Edmonda do powrotu do domu, ale bezskutecznie. W końcu Isaac zrobił to, co dotąd wydawało mu się niewykonalne, czyli opuścił Edmonda. Może liczył na to, że ten za nim pójdzie.

– Isaac ukrywał się przez jakiś czas w wiosce.

Jonathan spojrział na Piper, która odwróciła wzrok.

– Zjawił się tu dwa dni po twoim wyjeździe.

Nie byłam w stanie zaczerpnąć tchu, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. To było jak kopnięcie leżącego.

Jonathan wziął głęboki oddech.

– Gdy Isaac odszedł, Edmond wrócił do Gateshead, mimo że wiedział, jakie to niebezpieczne. Mieszkał i pracował z tymi ludźmi przez długie miesiące i pewnie wydawało mu się, że mu zaufają, usłuchają, że ich uratuje. No cóż, najwyraźniej nie dał rady. Gdy zrozumiał, że nie już więcej nie może zrobić, poddał się i uciekł.

Jonathan pokręcił głową.

– Jak ci wszyscy ludzie, z małymi dziećmi, mieliby ukrywać się w lesie, bez jedzenia... – Zamilkł. – Takich historii były tysiące i w większości nie miały szczęśliwego zakończenia.

Żadne z nas nie powiedziało słowa.

Jonathan wziął głęboki oddech i mówił dalej:

– Nie do końca wiadomo, co wydarzyło się potem, ale same wiecie, lepiej niż ktokolwiek inny, co się stało w Gateshead. Niedługo potem Edmonda znaleźli żołnierze, nie nasi. Kilka kilometrów od Gateshead. Był skrajnie wyczerpany i wygłodzony. Trzymali go przez miesiąc, ale dobrze go traktowali, poza tym, że brakowało jedzenia, a on był ostatni w kolejce. Nie wiemy, dlaczego pozwolili mu żyć, ale pozwolili. W końcu się do niego przyzwyczaili. Do tego, że się nie porusza, nie mówi, nie ucieka. Więc pewnego dnia po prostu wstał i odszedł. Wrócił do domu. Bóg jeden wie, jak dał radę się dowlec. Piper i Isaac znaleźli go chorego, wycieńczonego i milczącego. Zaprowadzili go do owczarni, gdzie sami się ukrywali, ale w ogóle się nie odzywał, nie chciał powiedzieć, co się stało. Milczał przez... – Spojrział na Piper.

– Ponad rok – dodała.

– Widziałaś, co sobie zrobił – podjął Jonathan. – Jakby za mało jeszcze wycierpiał. Jakby chciał się ukarać. Ale za co? Za to, że przeżył?

Długo milczeliśmy.

W końcu Piper odezwała się cichym głosem:

– A potem zainteresował się ogrodem. Upłynęło dużo czasu, zanim zrobił cokolwiek poza siedzeniem w fotelu, ale powoli, nadal nic nie mówiąc, zaczął pomagać przy warzywach, każdego dnia więcej i więcej. Widać było, że dobrze to na niego działa. Pielił, przycinał, wykopywał cebulki, zbierał nasiona i opisywał je, a gdy przyszła wiosna, zajął się sadzeniem roślin i to nie tylko po to, żebyśmy mieli co jeść. Także... po coś jeszcze.

Spojrzała na mnie.

– Nigdy wcześniej nie przejmował się ogrodem, ale gdy zaczął się nim zajmować, przerodziło się to w obsesję i trzeba było go od tego zajęcia odrywać siłą. Dzień po dniu pracował jeszcze długo po zmroku. Nie było sensu go wołać. Nie mógł przestać, nawet jeśli chciał. Zimą było gorzej, bo zajęć było mniej, ale nawet wtedy wychodził na dwór, podwiązywał gałęzie, żeby się nie połamały, owijał rośliny w siano i folię, żeby nie zmarzły. Czasami jego zapach nas przerażał, ale najwyraźniej jemu to pomagało. Nigdy nie opowiedział nam, co się wydarzyło po powrocie do Gateshead ani o tygodniach spędzonych z żołnierzami, ani o tym, co przeszedł po rozstaniu z Isaakiem. Jonathan dowiedział się tego wszystkiego od ludzi, którzy widzieli Edmonda i to, co się działo. Zamknął to w sobie i tylko tutaj daje temu ujście.

Wskazała gęste cierniste pędy pnącej róży, przycięte i przymocowane do ściany w okrutnej poziomej kompozycji, a mimo to nadal dzikie i ciężkie od ciemnoczerwonych kwiatów. Patrzyliśmy, jak pszczoła lata od jednego tłustego pąka do następnego, pijana,

uginająca się pod ciężarem obfitości.

I nagle zrozumiałam coś z jasnością mrozącą krew w żyłach: Edmond był świadkiem masakry. Widział mordowanych ludzi, kobiety i mężczyzn, umierające dzieci, zdychające z głodu zwierzęta. Nie wiem, jak udało mu się przeżyć, ale nie miałam wątpliwości, że tam był.

Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, jak to na niego wpłynęło. Nie musiałam.

Spojrzałam na Piper. Poznałam po jej oczach, że się nie domyślała. Jonathan też nie. A Isaac? Czy nie wie o wszystkim, co przydarza się każdemu z nas?

– I to tyle – skwitowała Piper. – To koniec.

Ale czułam, że to nieprawda. Pominęli jeden rozdział.

Ten, w którym bohater wraca do domu i dowiaduje się, że jego ukochana wyjechała.

Zostałam ogrodnikiem, w pewnym sensie.

Tylko tak mogłam z nim prowadzić rozmowę, bez słów, tylko ciężką pracą, dotykiem starych narzędzi, bulwiastymi cebulkami zakopywanymi głęboko w żyznej ziemi. Obserwowałam go i uczyłam się od niego – kopania, sadzenia i doglądania roślin. Z początku mi nie pomagał, ale nie potrzebowałam wsparcia. Chciałam po prostu tam przy nim być, w słońcu, sadzić maleńkie nasiona w kruszącej się ziemi i mieć nadzieję, że wyrosną.

Teraz chodzimy z Edmondem na spacer. Czasami się do mnie odzywa. Mówi, jak nazywają się rośliny, które widzimy na polu. Trudno je zapamiętać, jest ich zbyt dużo. Potrafię zapamiętać tylko te, które uratowały mi życie.

Corylus avellana. Orzech laskowy. *Rubus fruticosus*. Jeżyna. *Agaricus campestris*. Pieczarka łąkowa. *Rorippa nasturtium-aquaticum*. Rukiew wodna. *Allium ursinum*. Czosnek niedźwiedzi (dziki). *Malus domestica*. Jabłoń domowa.

Czasami siedzimy razem tak jak dawniej, nie mówiąc ani słowa, tylko słuchając drozdów i skowronków. Niekiedy nawet uśmiechnie się na jakieś wspomnienie, a wtedy spoglądam na jego twarz z ukosa, przebiegam palcami po bliznach i bez słów co chwila mu powtarzam, że jestem w domu.

Tak więc po tych wszystkich latach jesteście razem, Edmond i Ja.

Realia jego życia są jasne jak słońce. Wiem, że nigdy nie uda mu się uciszyć tych uwięzłych głosów. Słyszał krzyki mordujących i mordowanych. Ich jęki go napiętnowały, rozlały się po jego ciele, zatruiły go. Nie potrafił ich uciszyć ani odpowiedzieć nienawiścią na nienawiść świata. Odreagował na sobie. Świadczyły o tym blizny na jego skórze.

Isaac przeżył, bo słuchał zwierząt. Umiał im pomóc, a to uczyniło ból możliwym do zniesienia.

A Piper? Piper miała mnie. Ratując ją, uratowałam siebie, a wszystko to, co mogło nas zabić, okazało się zarazem naszym ocaleniem. Uchroniliśmy się od potworności wojny dzięki uporowi, ignorancji i nienasyconemu pragnieniu miłości.

Nie miałam pojęcia, jak zdruzgotany był Edmond. Wiem tylko, że potrzebuje spokoju i miłości.

A to mogę mu dać.

Więc jestem tu z nim. I z Piper, Isaakiem, Jonathanem i krowami, koźmi, owcami i psami, ogrodem i wszystkimi pracami, które trzeba wykonać, żeby przeżyć w gospodarstwie i w kraju wypaczonym i zniszczonym przez wojnę.

Wiem o tych wszystkich uwarunkowaniach, tyle że teraz są na zewnątrz mnie. Poza tym przekonałam się, że najlepsza jestem w stawianiu oporu.

I doskonale wiem, gdzie jest moje miejsce.

Tutaj. Przy Edmondzie.

Tak właśnie wygląda moje nowe życie.

¹ W brytyjskim folklorze mała postać obdarzona magiczną mocą, zwykle ze spiczastymi uszami, w zielonym stroju i w spiczastym kapeluszu (przyp. red.).

MEG ROSOFF

MOJE NOWE ZYCIE

Miłość poprowadzi Cię do domu...

YAH!